ŚWIATOWID

W DZIEŃ BOŻEGO NARODZENIA.



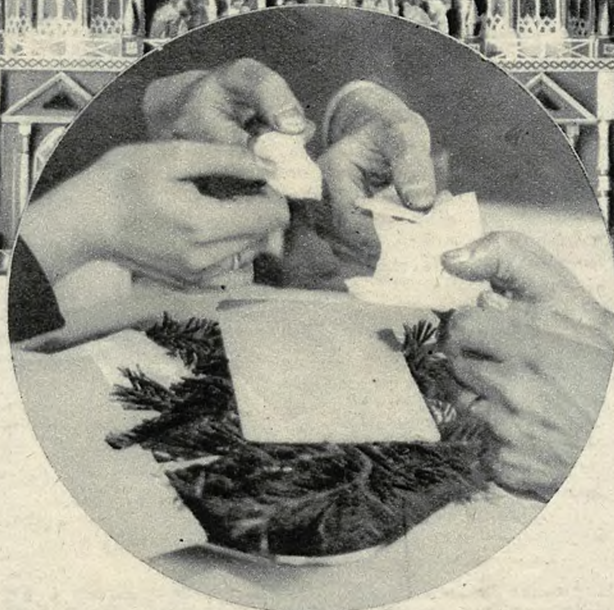
Malowała specjalnie dla »Swiatowida« Zofja Stryjeńska (Warszawa)

Wesołych Świąt!



Dobry ojczulek wraca z zakupów przedświątecznych do domu, niosąc podarki gwiazdkowe dla swoich najbliższych.





Przy stole wigilijnym.



Choinka dla bezrobotnych, ustawiona na Rynku krakowskim.

W dniu Świąt Bożego Narodzenia składa redakcja „Światowida“ wszystkim swoim P. T. Czytelnikom, Współpracownikom i Przyjaciołom, życzenia „Szczęść Boże!“ Oby te święta przeminęły w radości, w zbolałe dusze ludzkie wlały otuchę i nadzieję na lepszą przyszłość.

Oby skłócony świat zrozumiał, że tylko w zbożnej pracy, w zgodzie, a przedewszystkiem w rozbrojeniu dusz, doczeka się chwili, kiedy zacznie się prawdziwe dzieło pokoju, miłości bliźniego i dobrobytu.

Podnieś rękę Dziecię Boże, błogosław Ojczyźnie miłej.

Feljeton wigilijny.

SEANS NA FRONCIE.

BOLESŁAW WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI



Gen. brygady dr. Bol. Wieniawa-Długoszowski w mundurze podporucznika 1-go pułku ułanów Beliny. Fotografja z 1915 r.

Jesień 1915 roku, drugą jesień wojenną, spędziła I. brygada w specjalnie ciężkich warunkach. Rozdzielona na skutek intryg komendy legjonów, szukającej ciągle nowych sposobów i chytrości dla rozbicia naszej wewnętrznej spójni i pozbawienia Komendanta siły, która była podstawą dla jego niepodległościowej polityki, brygada krwawiła w dwóch grupach. Jedną z nich dowodził szef Sosnkowski, druga w składzie 5 oraz 4 pp., a później 1 p. ułanów Beliny, walczyła pod Kopczami, Koszyszczami i Stowygoroszem pod osobistym dowództwem Komendanta. Ciężkie i krwawe straty wynagrodziła nam w części nowa sława wojennna i niespodziana dla komendy legjonów klęska w formie serdecznej przyjaźni, jaka w bojach wywiązała się między nami i czwartakami.

Grudzień zatem i zbliżające się święta Bożego Narodzenia witaliśmy tem radośniej, że nie tylko wbrew zamierzeniom c. k. komendy wzrośliśmy w siły, ale że mieliśmy nadzieję spędzenia świąt w dobrych warunkach, gdyż po roku pracy bojowej dostaliśmy rozkaz przejścia do rezerwy korpusu kawalerji generała Hauera. Korpus ten stał nad dolnym Styrem, na odcinku raczej biernym, gdzie cała robota ograniczała się do uganiania się za patrolami rosyjskimi na szerokim, bagnistem i zalesionym przedpolu. Mieliśmy więc wszystkie możliwe na wojnie gwarancje, iż tegoroczne święta z niczem nie będą podobne do zeszłorocznych, które spędziliśmy wśród krwawych walk pod Łowczówkiem.

W małej, opuszczonej i napół rozebranej wiosce poleskiej, Leśniewce, wyznaczonej nam na zimowe leże, zagospodarowaliśmy się z wprawą starych wojaków. Kosztem kilku rozebranych doszczętnie chałup doprowadziliśmy pozostałe do jakiego-takiego stanu, graniczącego prawie z wykwintem, którego ideałem po spaniu w zalanych wodą ziemiankach pod Koszycami było sucie wymoszczone słomą wyro i wesoły ogień w piecu.

Nadszedł okres wywczasów, musztrowania żołnierzy raczej dla zdrowia, a pozatem polowania, nieróbstwa, kartograjstwa, gadulstwa, opowiadania anegdot i kawałów, lektury i wzmożonej korespondencji z uroczemi patrjotkami. No i obżarstwa.

Skromna i cicha Leśniewka zamieniła się w skromną, lecz bynajmniej nie cichą Capuę. Między innemi trzeba było, zdaniem Julka Kadena, trenować się w jedzeniu, aby w czasie świąt stanąć na wysokości zadania, jakie prawdopodobnie spadnie na nasze barki, a raczej żołądki, w formie przesyłek ze smakołykami od kochających rodzin, matek, żon, oraz wspomnianych wyżej czułych na żołnierską niedolę patrjotek. Jedynym oficerem dla którego zaczęły się w sztabie brygady ciężkie czasy był porucznik Sulistrowski, przemiły i ogólnie lubiany kolega, nazwany przez nas „Ciocią Femcią“, jako że na jego głowie leżała troska o wyżywienie oficerów sztabu. Pokorni dotąd, jak baranki, śpiewający na cześć naszego „menażemajstra“ piosenki, jak to on „za wolność naszą i waszą robi tłuste zrazy z kaszą“, zbuntowaliśmy się ostatecznie podnosząc bezczelnie nasze wymagania kulinarne, zwłaszcza namiętnie protestując przeciw nadużywaniu piasku, jako przyprawy do wszystkich bez wyjątku dań, przyczem argumenty „Cioci Femci“, że na Polesiu nie może być inaczej, absulutnie nie trafiały nam do przekonania.

Rozbestwieni próżniactwem zjadaliśmy się wzajemnie w namiętnych dyskusjach, walcząc złośliwościami, przycinkami, w której to walce Kaden, Roupert, Stachurek, Nałęcz-Korzeniowski, Adam Dobrodzicki i niżej podpisany doszli do bolesnej dla swych przeciwników wprawy. Komendant niekiedy brał udział w naszych dyskusjach i sprzeczkach, zwykle kończąc je wygłoszeniem swego zdania, czasem jednak dla zabawy sam je zaczynał, podszczuwając jednego przeciwnika na drugiego. Najczęściej wywoływał w ten sposób wymianę zdań w sprawach sztuki między mną a Adamem Dobrodzickim, obaj bowiem byliśmy nader zawzięci i wzajemnie ku radości słuchaczów doprowadzaliśmy się w zacietrzewieniu do paradoksalnej krańcowości w wygłaszanych sądach i opinjach.

W nawiasie muszę nadmienić, że wszystkie nasze dyskusje, sprzeczki i kłótnie, wzajemne naciągania się i przekomarzania, były dziecinnemi, niewinnemi igraszkami, w porównaniu z pomysłami, jakie rodziły się w szalonych łbach kolegów z innji, zwłaszcza zaś moich bliższych kompanów z 1 pułku ułanów, którzy dla zabicia nudy, oraz dla zaspokojenia potrzeby wrażeń i emocyj dostarczanych im dotąd chojnie przez wojnę, wpadali na najdziksze pomysły.

I tak moi dawni podkomendni z pierwszego plutonu pierwszego szwadronu, doszedłszy do zgodnego przekonania, że jeden z kolegów (dziś major dyplomowany) ma oczy, jak sarna, postanowili (n. b. za jego zgodą) urządzić na niego polowanie. Wobec sprzyjających warunków, a mianowicie świeżego śniegu przystąpiono na poczekaniu do realizacji projektu. Pięknooki ułan, nagi, jak go Pan Bóg stworzył, z małym awansem w czasie, pomknął do pobliskiego lasu, za nim wiara z karabinkami i w rezultacie nasz bohater, uchodząc przed strzałami towarzyszów, w adamowym stroju przy kilku stopniach mrozu przekłusował dwanaście kilometrów z Werchów, gdzie kwaterowali ułani, aż do naszej Leśniewki.

Innym znów razem zawzięta sprzeczka poróżniła dwóch oficerów, związanych serdeczną, początków wojny sięgającą przyjaźnią.

— Nierozumiem, jak mógłem żyć w przyjaźni z takim parszywym Judaszem — oznajmił w końcu jeden z powaśnionych.

— A ja dziś dopiero cię poznałem cholero i dlatego przestaję cię znać — zareplikował drugi.

Jednem słowem kwita z przyjaźni, zerwanie, rozstanie! Ponieważ mieszkali w jednej izbie, więc najpierw lojalnie ciągnęli węzełki, kto ma się wyprowadzić. Potem trzeba było podzielić się, równie uczciwie, skromnym, ale bezcennym w danych warunkach sprzętem kwaterunkowym.

— Więc teraz się dzielmy, dzielmy, towarzyszu mój.

— Twoje łóżko — moje łóżko, twój stołek — mój stołek, twój garnek — mój garnek, twoja ława... stój!

Ława była tylko jedna. Bez długich namysłów, z cechującą dobrych kawalerzystów szybką decyzją, schwytali społem za piłę, przecięli ławę na dwie równe części, potem z kolei przepiłowali na

dwie połowy stół i dopiero kiedy z wielkiem trudem uporali się w podobny sposób z szafą, odpadła ich zawziętość, wyparował z nich alkohol, wpadli sobie w objęcia, wycałowali się i oczywiście zasiedli do oblania zgody.

Podezas kiedy dzikie Czikosy Beliniego zabawiały się — pożal się Boże — w tak pogański sposób (popularne w brygadzie przezwisko Beliny brzmiało „Hampadimpa, wielki wódz Czikosów") sztabowcy zabijaliśmy czas, jak już wspomniałem, w bardziej kulturalny sposób.

Pewnego wieczoru, po kolacji (prawie bez piasku), kiedy przy szklance herbaty gawędziliśmy „de omnibus rebus et quibusdam allis" rozmowa zeszła na spirytyzm. Głucha grudniowa noc za szybami izby, buzujący w piecu ogień, w migotliwem świetle kilku łojowych świec tonąca w półmroku izba, tworzyły odpowiedni dla tego tematu nastrój. Niepokojące każdego człowieka zagadnienie, co się dzieje z jego istotą po śmierci, zagadnienie dla nas tem bardziej aktualne, że tylu kolegów i przyjaciół, pełnych energji, sił i zapału do życia, wyrwała z naszych szeregów kuma żołnierska, śmierć, było napewne podłożem do tej rozmowy. Od 1½ roku bez mała w polu, byliśmy po żołniersku swojeni ze śmiercią, jako zakończeniem pewnego etapu istnienia, ale bez sceptycyzmu, zwłaszcza zaś bez śladu cynizmu odnosiliśmy się naogół do możliwości, że zaczyna ona nowy, nieznany, a tajemniczy okres bytu. Wszyscy natomiast mieliśmy duże zastrzeżenia w stosunku do zjawisk spirytystycznych, owych stukających i wirujących stolików, oraz innych znanych nam prymitywnych eksperymentów, które większość przypisywała raczej jakimś nieznanym jeszcze dokładnie właściwościom ludzkim, a część z pośród nas cynicznie uważała za dziecinne oszukaństwo, lub w najlepszym wypadku samooszukaństwo.

W pewnej chwili, dla przerwania ciągnącej się w nieskończoność dyskusji, zaproponowałem, abyśmy sami zaimprowizowali seans.

Otrzymawszy zgodę Komendanta, w trzy migi spreparowałem potrzebne do tego, nieskomplikowane akcesorja; na dużym arkuszu papieru wypisany w koło alfabet i mały porcelanowy spodek z naznaczoną na krawędzi jego denka wskazówką.

Zaledwie kilka dłoni spoczęło na jego krawędzi końcami palców, talerzyk umieszczony w kole liter zaczął się poruszać, najpierw powoli, potem coraz prędzej i prędzej. Roupert, Kaden, Nałęcz-Korzeniowski, Ciocia Femcia, Dobrodzicki i ja bezładnie, jeden przez drugiego wywoływaliśmy różne wielkie, lub popularne nazwiska, stawialiśmy przeróżne pytania, talerzyk zaś krążąc posłusznie a nawet względnie sprawnie między literami, bądź to przyznawał się, że porusza nim taka, czy inna znana postać, bądź dawał odpowiedzi mniej, lub więcej sensowne na stawiane pytania, okazywał jakby zdenerwowanie, czy niezadowolenie, gdy który z uczestników zwracał się doń w sposób — powiedzmy — nietaktowny, czasem nawet zwymyślał żartownisiów rubasznem słowem.

Oczywiście wszyscy nawzajem podejrzywaliśmy się o pomaganie mu w ruchach, specjalnie kiedy odpowiadał nam stylem nazbyt żołdackim.

Niesforna ta zabawa trwała już dość długo, aż wkońcu Komendant, który dotąd przysłuchiwał się jej z pobłażliwym uśmiechem wyrozumienia, postanowił ująć w ryzy nasze rozhukanie:

— Dość tego bałaganu, moi panowie. Może byśmy tak spróbowali w jakiś rozumny sposób ułożyć i poprowadzić wasze pytania. Bijemy się z Moskalami. Gdyby tak zaprosić do nas jakiegoś Rosjanina, może zechciałby porozmawiać z nami o sprawach bardziej żywotnych i bezpośrednio nas interesujących.

Nikt chyba nie wątpi, że projekt Komendanta został przyjęty przez aklamację. Rozdokazywana banda sztabowców ucichła się w mgnieniu oka, Komendant zaś swoim zwyczajem, to jest lakonicznemi zdaniami, regulował dalszy ciąg niepoważnego dotąd eksperymentu:

— Kto z waszego grona jest Galicjanuszką, nie znającym języka rosyjskiego?... Wieniawa i Dodzicki... Dobrze. Wieniawa tedy i Dobrodzicki będą trzymali talerzyk. W ten sposób unikniemy czynnika domyślności, świadomego kończenia zaczętych słów, oraz zdań. Pozatem w celu zapewnienia zupełnej bierności obu wymienionych medjów, zobowiążemy ich, by nie patrzyli na alfabet i nie śledzili za wskazywanemi przez talerzyk literami. Za nich będzie to robił Sosnkowski, który bez styczności z talerzykiem będzie notował literę za literą w milczeniu, nie zdradzając ich sensu ni znaczenia. Pozostali panowie ograniczą się do roli milczących świadków... Pytania będę zadawał ja sam po rosyjsku, jeśli zjawić się raczy jakowyś rosyjski personat. Od czasu do czasu będziemy sprawdzali sens, czy też bezsens, notatek Sosnkowskiego.

W myśl dyspozycji Komendanta Adam Dobrodzicki i ja zasiedliśmy nad talerzykiem, szef z ołówkiem i notesem stanął w pogotowiu obok nas.

— Wot priszołby k'nam — odezwał się w ogólnej ciszy Komendant — kakoj niebut ruskij gienierał. Pogoworiliby my s nim po duszam.

Talerzyk pod naszemi rękami zaczął powoli krążyć, potem wykonał kilkanaście zdecydowanych ruchów i zatrzymał się.

— No cóż szefie — zwrócił się Komendant do Sosnkowskiego — co tam u pana wyszło.

— Zdjes gienierał Liniewicz — odczytał szef ze swych zapisków.

— Liniewicz? Czyżby ten znany z wojny japońsko-rosyjskiej? Obok Kuropatkina jeden z dowódców — odezwało się kilka głosów.

— Cisza, panowie! — nakazał Komendant, a potem znów w języku rosyjskim:

— Tak wy gienierał Liniewicz, adin iz rukowoditjelej rusko-japonskoj wojny? Moje pocztenje wasze prewoschoditjelstwo.

Nastąpił szereg ruchów talerzyka, poczem znów pauza, i szef odczytał odpowiedź:

— Da, eto ja Liniewicz. No ja s toboj rozgoworiwat nie budu.

— A poczemu — zapytał Komendat.

— Potomu, czto ty odstupnik.

— Kakim obrazom ja odstupnik?

— Potomu czto ty ruskoj poddanyj, a s Germańcami bijosz sia protiw ruskich.

— A po mojemu — uśmiechając się odpowiedział Komendant — skarije wy odstupnik, tak kak wy Polak, a służytie ruskomu carju.

Po tej replice Komendanta talerzyk zakręcił się kilka razy i przystanął, bez żadnej odpowiedzi.

— Możetie li wy owietit na woproz zadanyj myslienno? — brzmiało ponowne pytanie.

Ku naszemu zdziwieniu i dość nieoczekiwanie, wobec oświadczenia poprzedniego.

— Możems — brzmiała odpowiedź w notatniku Sosnkowskiego.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której Komendant widocznie zastanawiał się nad treścią swego pytania. Po pewnej chwili talerzyk drgnął pod naszymi palcami i przez dłuższy moment wędrował od litery do litery, wreszcie zaczął znowu krążyć w różnych kierunkach, aż wreszcie stanął.

Wówczas Komendant przybliżywszy się do stołu położył swe palce na krawędzi talerzyka, który pod dotknięciem Komendanta, jakby prądem elektrycznym pchnięty, wykonał kilka niezwykle gwałtownych kół, potem wyrwał nam się z pod palców i spadł na podłogę, rozbijając się z trzaskiem na miał.

— Niedwuznacznie dano nam do zrozumienia, że sean skończony — oświadczył Komendant. — Przeczytaj szefie wasze zapiski.

— Bieriegities pierwago dnia prazdnika rożdjestwa — budjet ataka... no na was tolko diemonstracja... ataka pojdjet jużnie... już... nie... je już nie... już nie... nieje...

— Coś tu plącze się na końcu — dodał od siebie szef.

— A może powiada, że więcej już nie chce mówić — próbuje sie domyśleć ktoś z obecnych.

— Wszystko jest w porządku — zdecydował Komendant, wziąwszy się sam do odczytywania zapisków szefa — ataka pajdjet jużnieje — atak pójdzie bardziej na południe. — Krążenie i błądzenie, widoczne zresztą i w innych częściach, zapisywanego przez szefa tekstu, wynika z braków polskiego alfabetu dla pisania po rosyjsku, brak jest znaku „jat", potrzebnego do słowa jużnieje. Mamy zatem przepowiednie na święta. Muszę przytem wyznać, że pytanie moje, zadane w duchu brzmiało istotnie — czy będziemy mieli spokojne święta?

Długo jeszcze omawialiśmy tego wieczoru szczegóły tego zastanawiającego seansu. Sama przepowiednia ataku rosyjskiego w dzień święta nie była niespodzianką. Wiedzieliśmy z doświadczenia, że Moskale mieli często zwyczaj niepokojenia nas w dniach katolickich świąt, kalendarzowo niezgodnych z datami świąt prawosławnych. My z naszej strony niejednokrotnie odpłacaliśmy im pięknem za nadobne. Nawet ścisłe określenie kierunków natarcia pozornego i głównego uderzenia dla ludzi obznajomionych z wojną nie było zaskoczeniem. Powodzenie ataku na naszym froncie obiecywało tylko taktyczny sukces, na południe od nas mogło mieć operacyjne znaczenie. Tak, ale uderzenie skuteczne na północ od nas było również prawdopodobne. Najbardziej jednak dziwiło nas, że odpowiedź ściśle i logicznie związana z pytaniem nie wypowiedzianem głośno, że mimo trzymania talerzyka przez dwóch Galicjan nie znających zupełnie języka rosyjskiego (ja nauczyłem się mówić po rosyjsku jako emisarjusz POW. w 1918 r. w Kijowie, a ukończyłem studja we więzieniu bolszewickiem w Moskwie, Gad-Dobrodzicki zaś pewnie do dziś nie włada językiem Puszkina) tekst odpowiedzi spisanej przez obywatela szefa zredagowany był w doskonałej ruszczyźnie, z takimi nawet smaczkami petersburskiemi, jak „możems", że w końcu treść ta miała wogóle jakikolwiek sens i że wskaźnik na talerzyku wskazywał na powiązane ze sobą litery, skoro my z Dobrodzickim podczas całej operacji, pod kontrolą zebranych, musieliśmy siedzieć z nosami skierowanymi ku stropowi izby.

Ostatecznie doszliśmy do przekonania, że decydującą rolę w całym tym eksperymencie odegrał Komendant i jego niezwykle silne zdolności sugestywno-intelektualne.

Suggestją i telepatją. Jak to powiedział Goethe? „Denn eben wo Begriffehlen, da stellt das Wort zur rechten Zeit sich ein!".

Na wszelki wypadek, za najbliższą oficjalną wizytą w sztabie korpusu napomknąłem — niby od niechcenia — szefowi sztabu, że Komendant przewiduje wzmożoną czynność Rosjan w okresie świąt, spodziewając się demonstracyjnych operacyj na naszym odcinku, poważnego zaś natarcia w okolicy Łucka. Przytem nie uczyniłem tego w celu skłonienia Austrjaków do ostrożności, gdyż i tak byli zawsze zanadto ostrożni (co swoją drogą nie wiele im pomogło), lecz raczej dla fasonu, żeby ich przekonać, jakto nasz Komendant wszystko zgóry wie i przewiduje.

Tymczasem brygada cała a z nią i sztab nasz w spokoju ducha oczekiwali świąt.

Nadeszła wreszcie wilja. Z nastaniem zmroku pod siedzibę sztabu zaczęli ściągać się gromadkami żołnierze z życzeniami dla Komendanta, z pięknemi gwiazdami z natłuszczonych kolorowych papierków i z dźwięcznemi kolędami, potem Komendant łamał się z nami opłatkiem (On z nami łaskawie, a my z nim posłusznie), poczem zasiedliśmy do wigilijnej wieczerzy, spożytej mimo nieopuszczonej nas nigdy wesołości, w nastroju napół sentymentalnym, a napół podniosłym. Jest to już właściwość wigilijnego wieczoru, że nawet najbardziej rozpuszczoną bandę, byle jej członkowie mieli polskie serca, roztkliwia, rozserdecznia i tęsknotami, jakoś jakby przybliża do nieba.

Anielsko usposobieni położyliśmy się spać. Nazajutrz rano zbudził nas niesłyszany od dwóch tygodni łomot działowego ognia. Huczały groźnie rosyjskie armaty, odszczekiwały im się zajadle austrjackie polówki.

— „Femciu, spokojnie" — zwróciłem się do dzielącego ze mną kwaterę Sulistrowskiego. — „Nie zapominaj, że u nas tolko diemonstracja", wobec czego śpimy w dalszym ciągu. Wstawać teraz byłoby oznaką słabego charakteru."

Okazało się, iż wszystko odbyło się według przepisu. Rosjanie zrobili na naszym odcinku grzmiącą ogniową demonstrację, natarciem w większym stylu uderzył na pozycje austrjackie pod Łuckiem. Natarcie owo skończyło się — mówiąc nawiasem — niepowodzeniem.

My zaś w naszej brygadowej rodzinie spędziliśmy beztroskliwie święta, podejmując serdecznie kochanego i dostojnego gościa, księdza biskupa Bandurskiego.



Wspominamy przy Świętach te dawne lata.



„Wigilja na Syberji", obraz Jacka Malczewskiego, z Muzeum Narodowego w Krakowie. Genjalny artysta przedstawił w nim w mistrzowski sposób tragedję naszych męczenników o sprawę narodową, którzy zdala od swoich, siedzieli zadumani przy suchym chlebie w noc Wigilijną, przenosząc się myślami do odległej Polski, zakutej w kajdany. Praca ich nie poszła na marne, z męki ich, bolu i trudu powstała Polska, by żyć. Dziś, kiedy na straży naszej Niepodległości stoi 275.000 bagnetów i miljonowe pogotowie całego narodu, oddajemy w pokorze hołd tym przedstawicielom pokolenia niewoli, które cierpiało i umierało za naszą lepszą dolę.

BOŻE NARODZENIE W DAWNEJ SZTUCE POLSKIEJ.

Malarze chrześcijańscy wyobrażali sobie miejsce, gdzie się narodził Jezus bądź jako drewnianą stajenkę, bądź jako grotę skalną. Pierwszy typ rozwinął się na Południu i występuje często w sztuce włoskiej (Mantegna, Lionardo da Vinci), drugi typ rozpowszechnił się na Północy, a najpiękniejszym jego przejawem jest obraz mistrza niderlandzkiego Rogiera van der Weyden (1400—1464), znajdujący się w Muzeum ces. Fryderyka w Berlinie. Obrazy i rzeźby, wyobrażające Narodzenie, jakie ze sztuki średniowiecznej dotąd w Polsce zachowały się, pochodzą przeważnie z drugiej połowy XV wieku. W tym okresie czasu polska twórczość artystyczna czerpała podniety w sztuce niderlandzkiej i niemieckiej, to też kompozycje polskie z XV wieku są przeważnie utrzymane w duchu północnym. Realistyczno rodzajowe prądy, jakie wówczas panowały, stworzyły wizerunki Narodzenia Chrystusa o charakterze ziemskim, naturalistycznym. Zwłaszcza realistyczne malarstwo północne wyłączyło z tych wizerunków wszelki pierwiastek transcedentalny. Na obrazie Schongauera w Muzeum ces. Fryderyka w Berlinie, św. Józef przywołuje położne, na sławnym drzeworycie A. Dürera widzimy Matkę Bożą pojętą jako ziemską matkę, spoczywającą na łożu, a krzątające się koło niej niewiasty kąpią w wanience małe dziecię Jezus. W sztuce polskiej głośny był ołtarz rzeźbiony w kościele OO. Dominikanów w Krakowie, który wyobrażał, jak Marję rodzącą otaczają „babki". Takie ziemskie ujęcie sceny ewangelicznej wywołało polemikę teologiczną między krakowskimi Dominikanami i Bernardynami, pod wpływem której powstała pieśń znana dobrze historykom literatury.

Ten skrajny realizm musiał wywołać reakcję, kolidował bowiem ze wskazaniami i nakazami Kościoła i niweczył urok i uduchowione piękno kompozycyj dawnych mistrzów. Mistyczny kierunek duchowy, który wypełnia cały wiek XIV, dał początek przedstawieniu bardziej wzniosłemu. Wedle nauki Kościoła i teologów, Narodzenie Jezusa było tak samo czyste i cudowne, jak i poczęcie i dlatego obrazowe przedstawienia poczynają być wolne od dodatków rodzajowych, stają się podniosłą tajemnicą. W tem ujęciu nie czas, miejsce i okoliczności wysuwają się na plan pierwszy, lecz przedewszystkiem sam fakt zstąpienia Boga na ziemię w postaci dzieciątka. Miejsce jest wprawdzie zaznaczone, jako uboga stajenka, lecz przez obecność Boga staje się ona świątynią, w której służą aniołowie, a Najświętsza Dziewica, św. Józef i pobożni pasterze stają się Jego adoratorami. Dziecię Jezus staje się ośrodkiem kompozycyj. Ten typ, który szczególnie rozpowszechnił się na Południu, był też znany w Polsce, a jego przykładem jest minjatura, zdobiąca Graduał Katedry krakowskiej z fundacji króla Jana Olbrachta, napisany i ozdobiony w latach 1501—1506.

Z Narodzeniem Chrystusa jest tu złączona scena zwiastowania pasterzom, cofnięta wgłąb. Już w najstarszej sztuce spotykamy wyobrażenia sceny Narodzenia w połączeniu z pokłonem pasterzy i odwiedzinami mędrców. Przepiękną scenę pokłonu pasterzy dał nam Wit Stwosz, w ołtarzu Marjackim na lewem skrzydle wewnętrznem i na tryptyku z Lusiny, znajdującym się w Muzeum Polskiej Akademji Umiejętności. Historja trzech świętych mędrców była jedną najbardziej ulubionych z życia Chrystusa. Sztuka chrześcijańska chciała z tym tematem złączyć szczególną naukę. Wędrówka mędrców i cudowne prowadzenie ich były symbolem Łaski Bożej, która wszystkich chrześcijan wiedzie do przybytku Boga na tym świecie ,t. j. do Kościoła i do przybytku Boga na tamtym świecie — do nieba.



Karta z Ewangeljarza płockiego w Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie z minjaturą, przedstawiającą pokłon Trzech Króli.

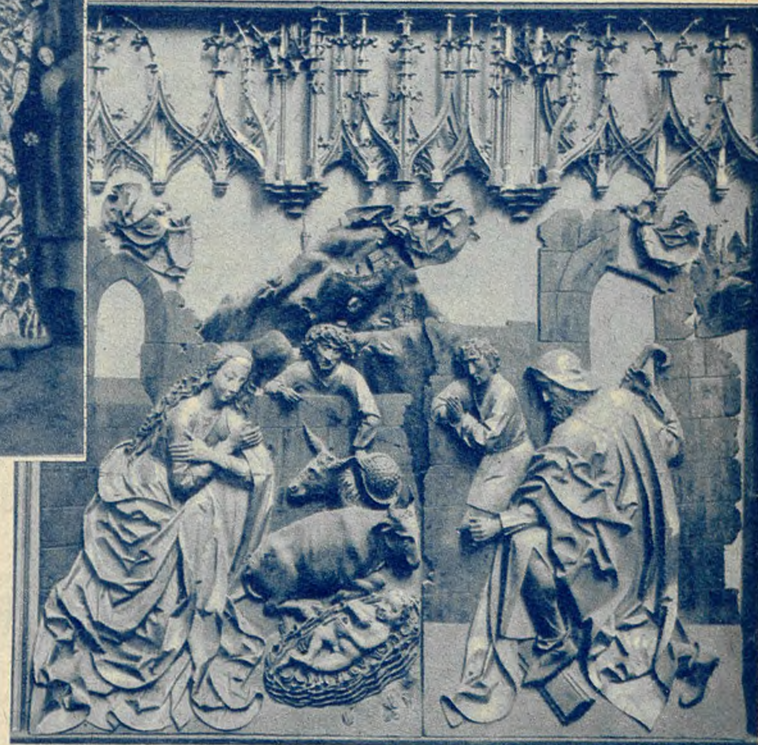


Pokłon Trzech Króli, z cyklu obrazów cechowych z kościoła św. Katarzyny w Krakowie (połowa XV-go wieku).

We wczesnem średniowieczu, kiedy Kościół doszedł do szczytu potęgi i kiedy nadawał władzę monarchom, kiedy lud korzył się w pyle i w prochu przed władzą kościelną, jako pochodzącą od Boga, nie dopuścił do tego, aby królowie składali hołd nędzarzowi. Wyobrażano wtedy Chrystusa na kolanach matki jako władcę, a Jego matkę jako matkę Króla, Królową niebios, oboje w całym majestacie monarszej godności. Nawet św. Józef, niegdyś cieśla, stał się dygnitarzem, który choć z boku siedzi na pięknym tronie i podnóżek ma pod nogami. Dopiero później, kiedy św. Franciszek i zakony żebracze zajmą się ludem, wróci pierwotny sposób wyobrażania sceny Bożego Narodzenia i Hołdu trzech Króli. Sposób ujęcia przekształcał się więc stosownie do panujących pojęć społecznych. Bardzo piękny przykład takiego hieratycznego pojmowania Bożego Narodzenia posiadamy w minjaturze zdobiącej ewangeliarz Płocki, pochodzący z XI w., przechowywany w Muzeum im. ks. Czartoryskich. Sztuka polska XV w. wykazuje przedstawienia Pokłonu trzech Króli dość liczne. Na pierwszem miejscu należy tu wymienić znowu scenę z otarza Marjackiego Wita Stwosza. Sławny jest też obraz Hansa Suess z Kulmbachu, będący niegdyś w kościele OO. Paulinów na Skałce, a znajdujący się obecnie w Berlinie.

Poza tem w naszych muzeach i kościołach spotykamy dość często przedstawienia Pokłonu Trzech Króli, a z tych do najcenniejszych należą: obraz w kościele św. Katarzyny w Krakowie i tryptyk Matki Boskiej Bolesnej w kaplicy świętokrzyskiej w Katedrze wawelskiej, wykonane w drugiej połowie XV w. i tryptyk w Bodzentynie. Cenne i sławne nasze rękopisy iluminowane, zawierają również pod tym względem wiele minjatur, o nieprzeciętnej często wartości.

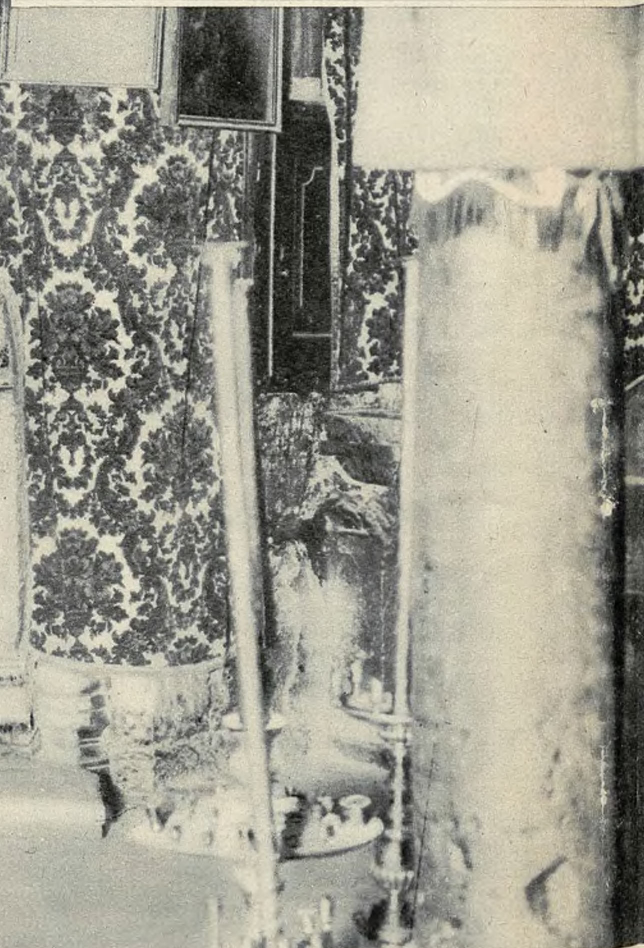
Dr Władysław Terlecki.



Pasterze składają hołd Dzieciątku. Rzeźba Wita Stworza z ołtarza kościoła Marjackiego w Krakowie (1477—1486).

Pójdźmy wszyscy





Wnętrze św. Stajenki w Betlejem.

Betlejem, po hebrajsku „Bethlehem“ leży w odległości 2 mil na południe od Jerozolimy. Niewielkie to miasteczko zwane także przez długie czasy „Efrata“ tj. „żyzne“, należało do miast, które już w starożytności miało swoją sławę.

Tu patrjarcha Jakób pochował swoją żonę Rachelę; tu na polach betlejemskich uboga Rut zbierała kłosy u bogatego Booza, a potem jego żoną została. Tu urodził się Dawid i przez proroka Sammuela na króla pomazany został.

Do najwyższego jednak zaszczytu i znaczenia doszło Betlejem z chwilą narodzenia się w niem przyobiecanego Mesjasza, Jezusa Chrystusa.

Gdy ogłoszono edykt cesarza Augusta o zrobieniu spisu ludności, mieszkająca w Nazarecie Najświętsza Panna i święty Józef, jako pochodzący z rodu Dawida, musieli udać się do Betlejem.

Nie mogąc znaleźć przytułku w żadnym domu, w żadnym już przepełnionym zajeździe, zmuszeni byli oboje, gdy noc nadchodziła, schronić się w grocie, która była stajenką pastuszków, pasących na polach okolicznych swe stada.

Tam i tej nocy porodziła Najśw. Panna Zbawcę świata. Odtąd do Betlejem, do świętej Groty, w ślad za pastuszkami i trzema królami nadciągać zaczęli pielgrzymi.

Na przekorę chrześcijanom kazał cesarz Adrjan wybudować nad Grotą świątynię pogańską, która niedługo się utrzymała, gdyż na początkach czwartego stulecia ery chrześcijańskiej cesarzowa Helena wzniosła nad Grotą betlejemską wspaniałą świątynię, a co było pogańskie, kazała usunąć.

Od tego czasu stało się Betlejem celem pobożnych pielgrzymek z całego świata i miejscem czczonem nawet przez wyznawców Mahometa, Arabów i Turków.

Przyszły jednak ciężkie czasy na Betlejem, gdy Ziemia święta dostała się pod panowanie Saracenów. Dopiero w XI wieku zdobyli je Krzyżowcy, a papież Paschalis II założył tu na ich prośbę biskupstwo, które po krótkim czasie zniesione zostało przez Mahometan.

Od czasu owej świętej Nocy, gdy się Dzieciątko Boże narodziło, Betlejem mało swój wygląd zmieniło. Położenie jego malownicze, zbudowane jest bowiem na dwóch wzgórzach, a otoczone wieńcem zielonych ogrodów.

Domy Betlejemu niskie, z płaskimi dachami, uliczki wąskie i kręte. Wszędzie pootwierane gospody, pełne przekupniów i biednych.

Obecnie zamieszkuje Betlejem do 5 tysięcy mieszkańców, z tych tylko kilkuset mahometan i żydów, główną zaś część stanowią chrześcijanie, trochę Greków i Ormian, a najwięcej między nimi katolików.

Betlejemczycy mają bardzo piękne rysy twarzy, są zgrabni, zręczni i sprytni. Tylko ich usposobienie gwałtowne bywa nieraz powodem niemałych dla nich potem kłopotów.

Ludność betlejemska wogóle, a osobliwie kobiety słyną z wielkiej moralności i dobrych obyczajów. Ubierają się bardzo skromnie i pracowicie uprawiają swe żyzne role, na których udają się im winogrona, migdałowe i figowe drzewa oraz prześliczne daktylowe palmy.

Nadto zajmują się Betlejemczycy wyrobem pamiątek dla pielgrzymów: drogich krzyżyków, żłóbków,

do stajenki......



Nowoczesna ulica w Betlejem.

koronek i medaljoników z różanego drzewa i masy perłowej. Mimo jednak tej znojnej pracy naogół są biedni, gdyż, podobnie jak my, muszą opłacać wysokie podatki.

Najważniejszem i najcenniejszem miejscem w Betlejem jest bazylika, zbudowana nad stajenką. Nosi ona nazwę kościoła Najświętszej Marji Panny.

Składa się ten kościół z przedsionka i 5 naw podzielonych od siebie rzędami filarów z czerwonego marmuru. Środkowa nawa jest wyższą i szerszą od bocznych. Ściany bazyliki ozdobione są miejscami cenną mozaiką na złotem tle.

Po obu stronach wielkiego ołtarza znajdują się dwa wchody do Świętej Groty, z których lewy należy do katolików, a prawy do Ormian i Greków.

Po sześciu schodach porfirowych, zgiętych w półkole do Groty otwartych, przychodzi się do drzwi z szarego marmuru, a potem wstępuje się kurytarzem wąskim po 9 stopniach do samej Groty.

Ta święta jaskinia przedstawia się jakby korytarzyk 17 kroków długi o 5 szeroki i na 4 łokcie wysoki. Naprzeciwko lewego wchodu jest druga malutka pieczara żłobu.

Od strony wschodniej, pod samym wielkim ołtarzem kończy się Grota wpółokrągłą framugą i tu jest właśnie miejsce Bożego Narodzenia.

Wewnątrz po bokach framugi znajdują się dwie kolumieneczki, na których opiera się płyta marmurowa, służąca za mensę ołtarza. W samym dole pomiędzy temi kolumnami jest posadzka jaspisowa, a na niej umieszczono gwiazdę srebrną o 14 promieniach, które dawniej ozdobione były drogiemi kamieniami, a dziś tylko miejsca ich oprawy pozostały.

Wewnątrz tej gwiazdy jest koło srebrne, a na niem słowa łacińskie „Hic de Virgine Maria Jesus Christus natus est". („Tu z Dziewicy Marji narodził się Jezus Chrystus").

Nad tą gwiazdą wisi 16 lamp, tj. 4 katolickich, 6 greckich i tyleż ormiańskich.

Opodal na prawo, jest mała grota, zupełnie otwarta, do której wstępuje się po 3 stopniach z białego marmuru. Tu w zagłębieniu umieszczony był prawdziwy żłóbek, z którego pozostało zaledwie parę deszczułek, przeniesionych do Rzymu, gdzie przechowują je w kościele Marji Większej.

W tejże samej grocie, naprzeciw żłóbka, jest ołtarz Trzech Króli. Tu, według podania, siedziała Najśw. Marja Panna ze swoim Synkiem na ręku, gdy Mędrcy ze Wschodu składali Mu dary.

Ks. Dz. 372

Pasterze z okolic Betlejem

WIGILJA W SCHRONISKU TATRZAŃSKIEM.



Widok ze schroniska Bustrzyckiego (Hala Gąsienicowa w Tatrach) na Kozie Wierchy. *Fot. Mroczkowski.*

Przez trzy dni „suło" śniegiem, że świata nie było widać. Wraz potem położyła się na górach mgła, szarpana promieniami słońca i kłębiąca się w podmuchach wiatru. Cienie w zagłębieniach śniegu stały się niebieskie — znak nieomylny tęgiego mrozu, który z każdą chwilą przybierał będzie na sile. Zimowy dzień miał się ku końcowi — nadchodził wigilijny wieczór. Tatry czekały go w grubej pościeli śniegu na halach, opancerzone lodem na poszczerbionych graniach.

Żołnierze jeszcze w południowych godzinach zjechali na nartach ku dolinom — na święta. W starem, napoły zrujnowanem schronisku, zostałem sam jeden. Na hali nie było dosłownie nikogo. Mróz brał niezwykłej mocy.

Sporo szczap drzewa pod ognisko... opłatek z plecaka — długie godziny marzeń... stare dzieje.

Było późno w nocy. Cisza. W pustyni zimy i mrozu, schronisko z szemrzącym ogniem, dającym życie — było zagubioną oazą spokoju. Stary piec stał się źródłem tajemnic płomyków, skaczących po popielejących gałęziach. Płynęły chwile czaru...

Wtem — stuk jeden i drugi w drewnianą ścianę schroniska złamał ciszę. Co to?... Cisza dzwoniąca w uszach, przerywana jedynie trzaskiem ogniska. Po dłuższej chwili znowu! Teraz w inną ścianę...

Szeroko otwarłem okute blachą drzwi schronu. Pusto... Za żebrem Kosistej wychylił się księżyc i słał drżącą poświatę po śniegach hali, z której ustąpiły już mgły. W dole biały las w czapach okiści, stał w cichej zadumie. W nawiany wał śniegu przy schronisku, wbite deski nart — zjawiskowym kształtem przekreślają granat nieba, usianego gwiazdami. Zresztą nic. Biała pościel śniegu wokoło — niepoznaczona żadnym śladem.

Wiedziałem dobrze, że stare drzewo schroniska nie pęka już z mrozu — zresztą stuk był inny. Zaciekawiony obszedłem mały domek dookoła. Nic — żadnego znaku. Przypomniały mi się, tak częste wśród górskiego świata opowieści o duchach o północy wigilijnej i niesamowite legendy gór.

Po dłuższej chwili — po powrocie do schroniska — znowu stuk w ścianę. Teraz napewno z zewnątrz idzie ten realny odgłos. Jednym skokiem jestem znowu w drzwiach i wtedy widzę — poznaję. To kozica, wdzięczne stworzenie wysokich gór, przeskakuje zaspę i płynąc nad śniegami, ucieka szybko na Ukracie...

Przyszło biedne zwierzątko górskie, nękane mrozem i nie mogące dogrzebać się paszy głęboko pod śniegiem ukrytej. — Przyszło do mchu, którym utkane są belki schroniska, aby się pożywić... Pokonało strach przed siedzibą ludzką i z wysokich grani tatrzańskich, zeszło w dół, do hali, w poszukiwaniu za życiem...

Cicho wróciłem do schroniska i siadłem przy ogniu. Długie godziny czekałem — niestety spłoszone zwierzę górskie nie wróciło już więcej...

* * *

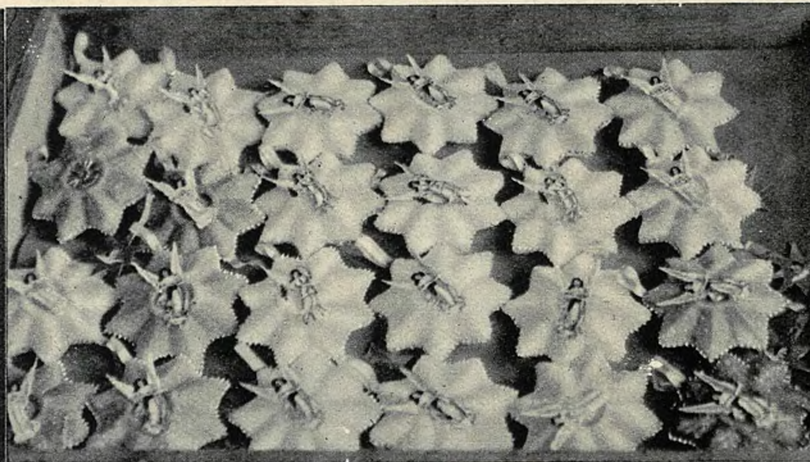
Dziś — w czasie Świąt — tętnią góry życiem, a schroniskowe wilje gromadzą tłumy. Nie przyjdzie już jednak chyba kozica do granitowych ścian wielkich schronisk-hoteli i tylko daleko w górach, na odludziu, można zobaczyć pomykające stado kozic. Dziś urok wigiji w górach wzrusza nadal, ale jest już inny.

A przecież nie było ta tak dawno. Jeszcze dwanaście lat temu — przeżywałem noc wigilijną na hali sam jeden i tylko kozica przyszła mnie odwiedzić...

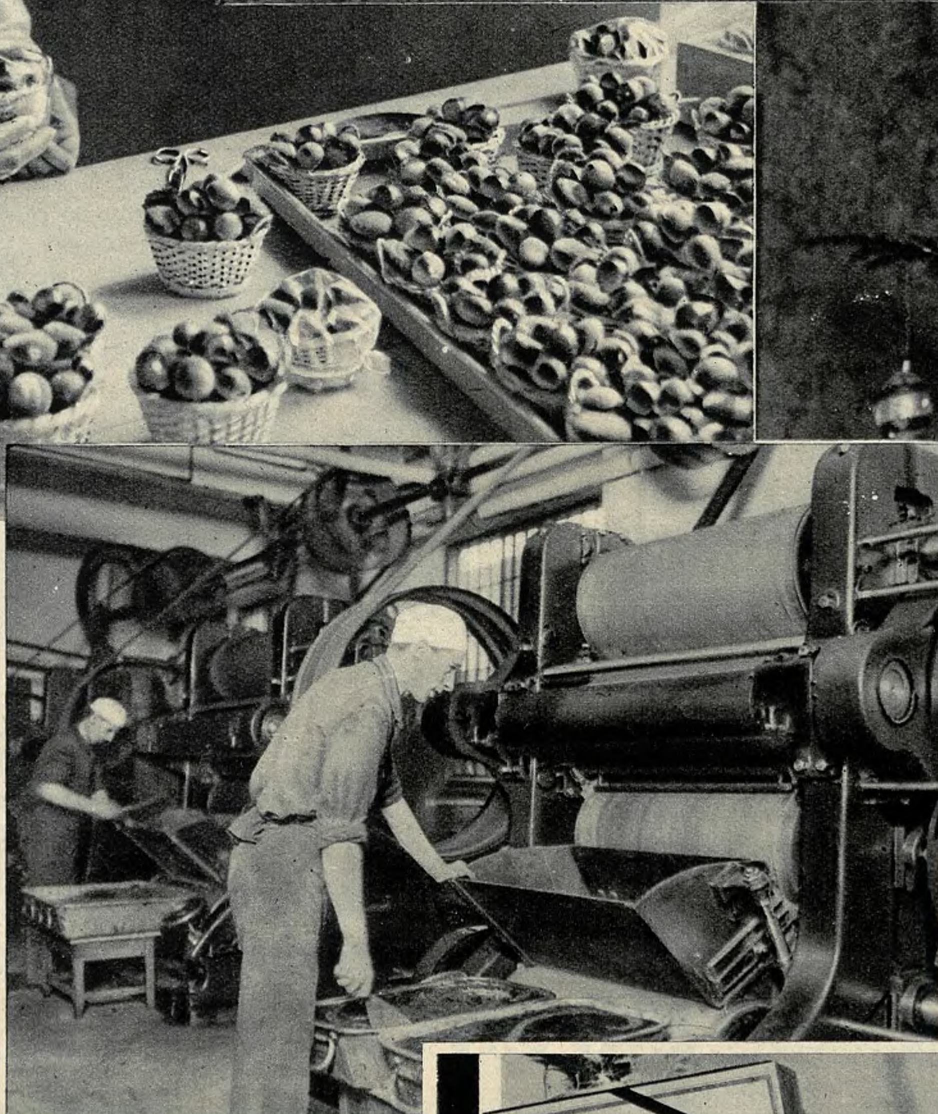
Stanisław Faecher.

WSZYSTKO DLA DZIATWY.









Przyspieszonem tętnem biją serduszka dziecięce!

Aniołki... drzewko... kolendy i... mnóstwo łakoci! Gwiazdka! Święto dzieci!

Dla nich w te dni jedzie z leśnych ustroni tysiące mniejszych i większych choinek! Dla nich pracowite dłonie mateczek przygotowują różne niespodzianki. Dla nich trudzą się robotnicy w fabrykach cukrów i czekolady, gdzie walce wielkich maszyn wytłaczają miljony ozdobnych cacek cukrowych na drzewka, które w dzień Wigilji zabłysną jarzącem światłem świeczek!

Więc rojno i gwarno przed wystawami sklepowemi, kryjącemi za lustrzaną taflą szyb choinkowe cacka! Ciśnie się dziecięcy ludek, wodząc roziskrzonym wzrokiem dokoła.

— Mamusiu, kup Jerzykowi aniołka na srebrzystej gwiazdce!

— A Halince taki koszyczek z owocami, co wyglądają jak żywe!

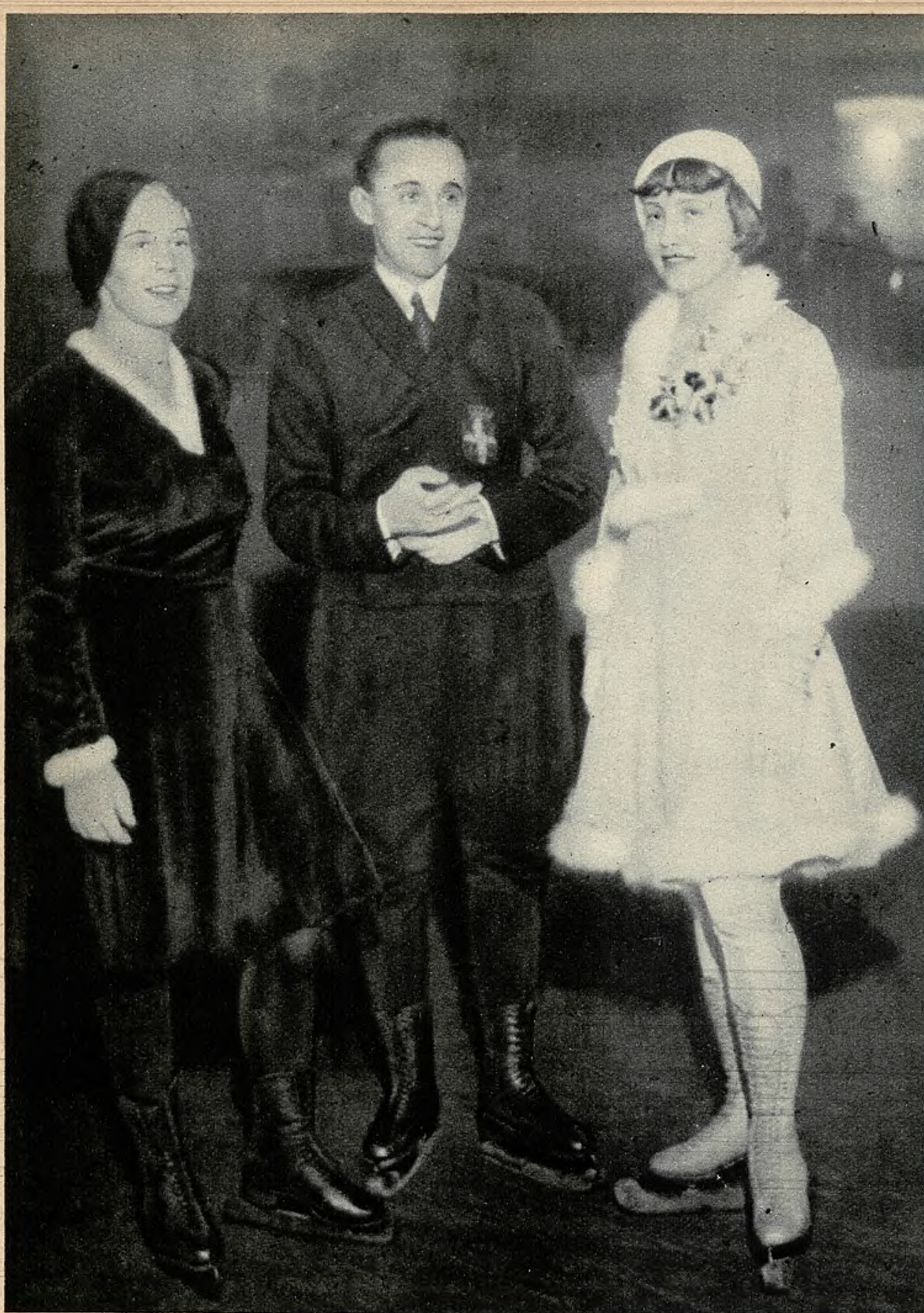
Padają życzenia, poparte gorąco proszącym wzrokiem — któżby się oparł? Więc choć nie łatwe to zadanie obdzielić dziatwę tem wszystkiem, ku czemu rwą się jej oczy, wracają przecież te najmilsze z pociech ziemi, obładowane podarunkami, które jakże to miło rozwieszać na gałązkach choinki, nucąc czy też śpiewając rozgłośnie:

„W dzień Bożego Narodzenia...".

J. Z.

Między walcami maszyny przeciera się masa na smakowite czekoladki.

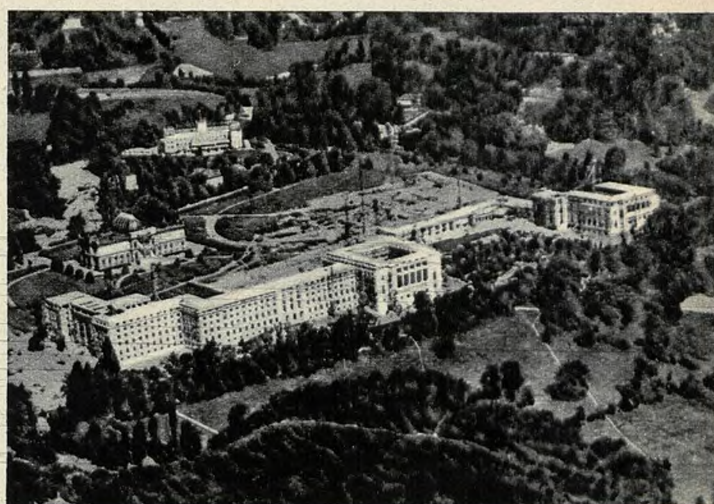
REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



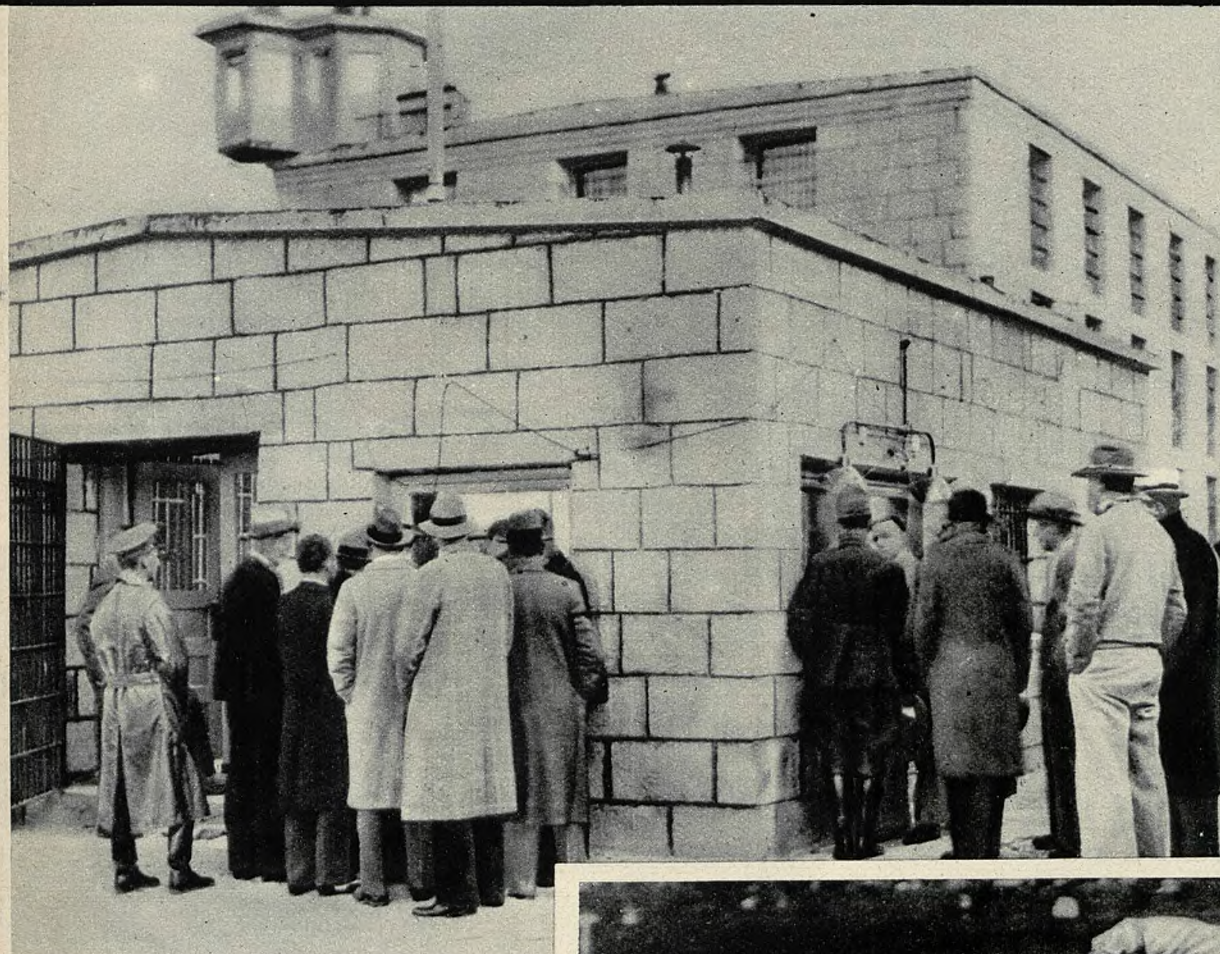
ŁYŻWIARZE WIEDEŃSCY W BERLINIE. Wiedeń słynie z mistrzów jazdy sztucznej na lodzie. Obecnie najwyższą klasę wiedeńską reprezentuje z mężczyzn niezrównany Schäffer, a z kobiet Hilda Holowsky. Gościła ona przed dwoma laty w Polsce, wywołując entuzjazm zarówno w Krynicy, jak i w Zakopanem swojemi popisami. W tych dniach odwiedziła ona Berlin, gdzie spotkała się z mistrzowską parą Austrji p. Gaillard i Peterem i występowała w pałacu Sportowym. *Atlantic-Photo.*



CHMURY NAD FRANCJĄ. Jeszcze do niedawna Francja była przedstawiana jako jedyna oaza dobrobytu i porządku w całym świecie. Kraj ten bowiem, zgromadziwszy ogromne zapasy złota, mógł stawić czoło kryzysowi, mając niewzruszoną walutę i wzmożony eksport. Dopiero spadek funta i rosnące z dnia na dzień barjery celne, zaczęły się katastrofalnie odbijać na położeniu Francji. — Obecnie i tam są bezrobotni, a liczba ich wzrasta z miesiąca na miesiąc. Na zdjęciu pochód głodowy bezrobotnych z Paryża do St. Denis, gdzie odbyły się wielkie demonstracje. *R. Sennecke.*

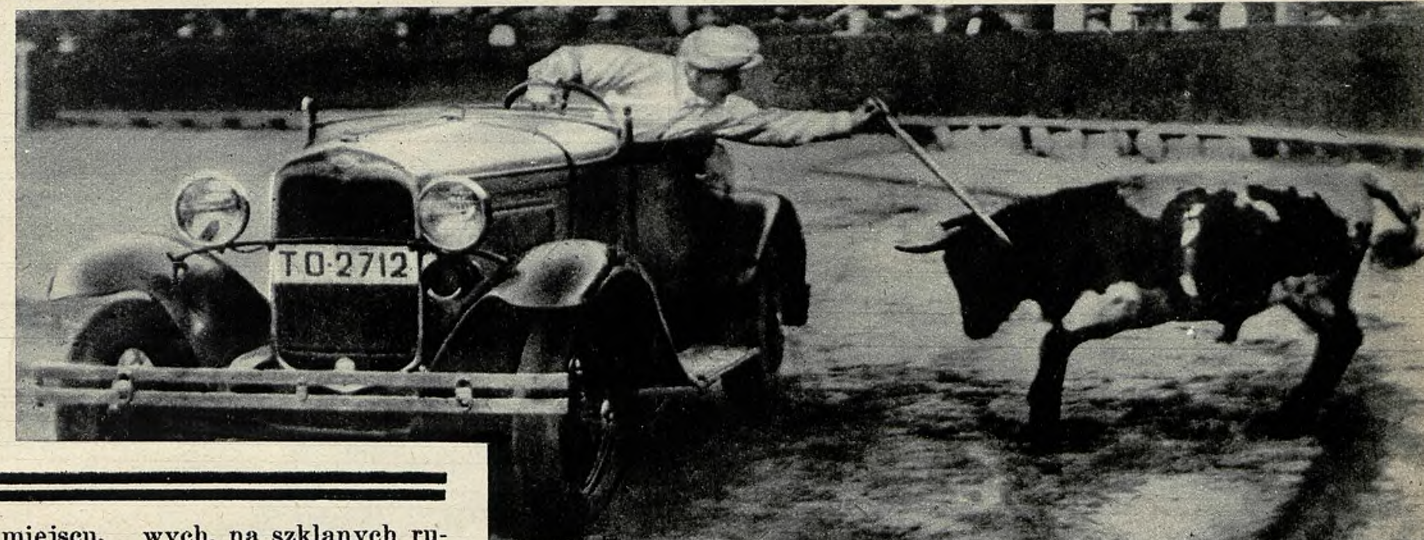


NOWA SIEDZIBA LIGI NARODÓW. Z powodu braku pieniędzy musiano chwilowo przerwać budowę nowego, monumentalnego gmachu Ligi Narodów w Genewie. Korzystając z tego Austrja, zaproponowała, aby Liga Narodów przeprowadziła się z Genewy do Wiednia, gdzie może znaleźć łatwo pomieszczenie w dawnych pałacach cesarskich. Propozycja ta jednak nie była nigdy przez Ligę brana poważnie w rachubę i pozostanie w sferze pobożnych życzeń austrjackich. Na fotografji nowy gmach Ligi Narodów w Genewie, wedle zdjęcia z grudnia b. r. *Atlantic-Photo.*



TRACENIE PRZY POMOCY GAZU. W amerykańskim stanie Nevada zastosowano po raz pierwszy karę śmierci przez zatrucie gazami. Skazaniec zostaje tam umieszczony w hermetycznie zamkniętej komorze i po kilku minutach umiera odurzony gazem. Zdjęcie przedstawia publiczność, obserwującą przez okna tracenie zbrodniarza w ten nowy sposób. *Scherl.*

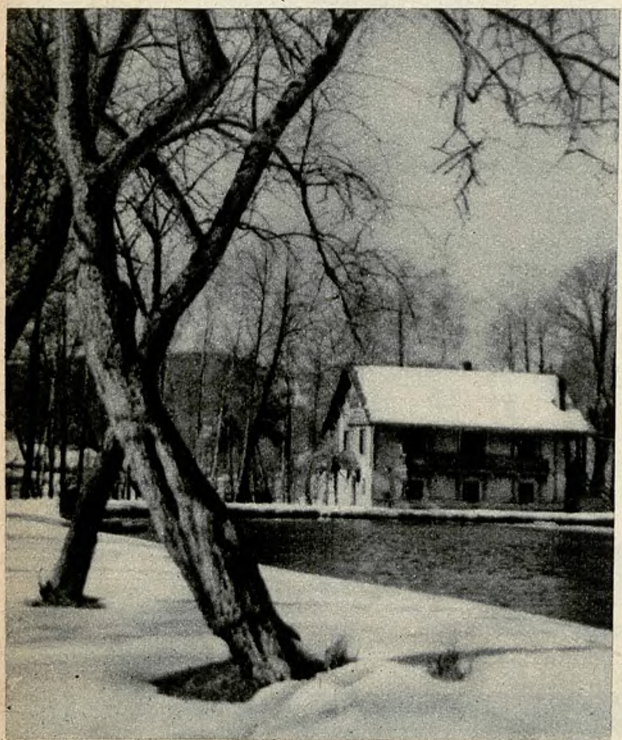
ROZDANIE NAGRÓD NOBLA. W obecności członków domu panującego wręczył król szwedzki osobiście nagrody Nobla uczonym, którzy otrzymali je tego roku. Wysokość tej nagrody wynosi około 150.000 złotych. Na zdjęciu król, wręczający dokument profesorowi amerykańskiemu Irvingowi Langmuir. *Atlantic-Photo.*



PIKADOR NA FORDZIE. W Walencji w Hiszpanji odbyły się walki byków, zmodernizowane w ten sposób, że pikador występował nie na koniu, jak każe tradycja, lecz w aucie. Naturalnie walka (na zdjęciu) skończyła się zwycięstwem maszyny i człowieka, byk został powalony, a anto zbryzgane krwią wróciło do garażu. *The New York Times.*

O PIERWSZEJ W POLSCE PSTRĄGARNI.

W dawnej Polsce było ryb dużo. Dobre to były czasy, kiedy „słudzy w kontraktach wymawiali sobie, że łososia więcej jak trzy razy w tygodniu na pożywienie nie dostaną“ (Z. Fiszer). Stosunki się zmieniły. Istniejące niegdyś przy każdem dworze sadzawki, rybniki, zamieniły się z biegiem lat w kośne łąki, rzeki nie są już tak rybne jak ongiś, a łosoś jest dziś rybą dostępną tylko dla ludzi bogatych.



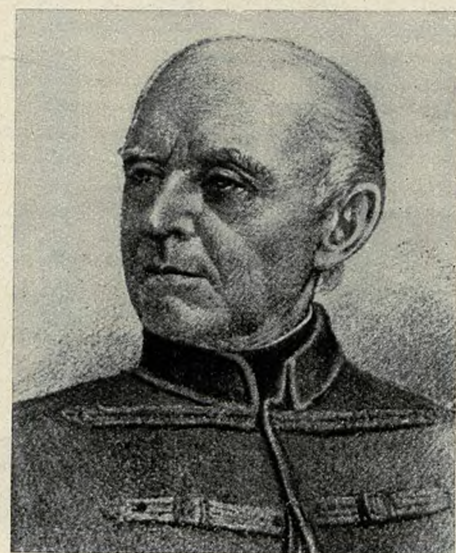
Fragment z wielkiego stawu pstrągarni w Dubiu.

Jakkolwiek hodowla ryb w stawach znana już była od wieków, to jednak sztuczna hodowla ryb łososiowatych, to jest jest zapładnianie ikry i wylęganie jej w specjalnych aparatach, jest rzeczą nowszą i przypada na koniec XVIII wieku. Wynalazcą tej sztucznej hodowli był Niemiec St. L. Jacobi. Ogłosił on swe badania w roku 1765.

Twórcą zaś pierwszej w Polsce sztucznej wylęgarni pstrągów był dr Jan Nepomucen Radziwoński, lekarz z Krakowa.

Pstrągarnia jego powstała w r. 1850 w okolicy Krakowa nad bystrą rzeczką Szklarką we wsi Dubie.

Jeśli zważymy, że pierwsza sztuczna wylęgarnia ryb powstała w r. 1840 we Francji, to zbudowanie takiego zakładu w Polsce już w r. 1850, nabierze właściwego znaczenia. Wszak sławny prof. Coste zakłada swoją wylęgarnię w Hüningen, w Alzacji, dopiero w r. 1852.



Dr. Jan Nepomucyn Radziwoński, lekarz z Krakowa, twórca pierwszej w Folsce sztucznej wylęgarni pstrągów, założonej w Dubiu w 1850 r.

Miejsce na pstrągarnię wybrane było przez dr Radziwońskiego b. trafnie. Szkarka, Racławka, Eljaszówka i inne potoki, spływające z Wyżyny Małopolskiej w dolinę Rudawy, były od wieków ojczyzną pstrąga.

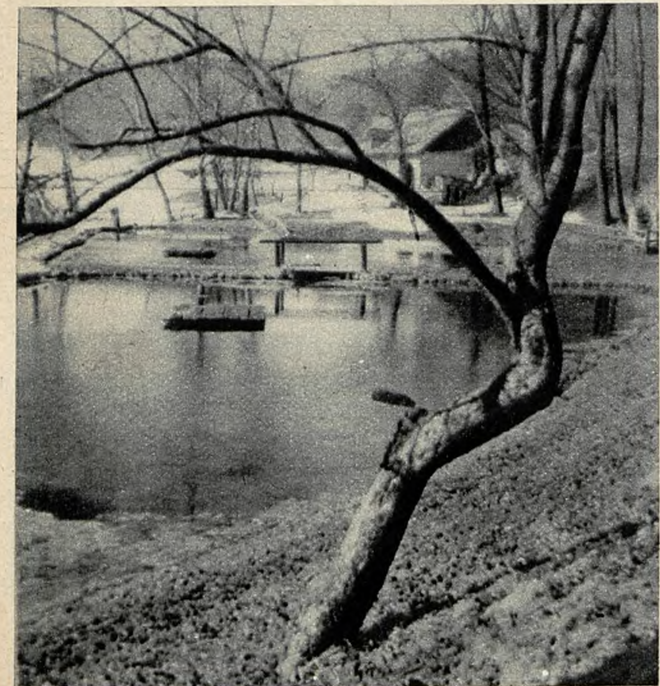
Któż nie zna pstrąga, tego zwinnego mieszkańca naszych potoków karpackich, jezior tarzańskich i niektórych strumieni Pomorza i Litwy?

Spotkał się z nim każdy, może na ławie szkolnej w podręczniku zoologji, może czyhając nań z wędką nad brzegiem górskiego strumienia, a może widząc go po raz pierwszy w swem życiu dopiero na półmisku. Przyjemność poznania, wątliwa w pierwszym wypadku (na ławie szkolnej), w drugim i trzecim przemienia się w prawdziwą rozkosz. Bo pstrąg, to ponętna zdobycz dla sportowca-wędkarza, a dla smakosza o wybrednem podniebieniu, królewskie danie do obiadu.

Pstrągów jest kilka gatunków. Żyjący u nas, rodzimy „pstrąg rzeczny“ (Trutta fario L.), jest rybą b. pięknie ubarwioną (stąd nazwa). Zamieszkuje jedynie wody czyste i zimne. Lubi dno żwirowate i kamieniste, gdzie na płytkiej wodzie (październik - grudzień) odbywa tarło, a narybek znajduje tam liczne kryjówki. Pstrąg chętnie ukrywa się pod kamieniami. Wiedzą o tem dobrze nasi górale, którzy wyspecjalizowali się w łowieniu pstrągów ręką. — Pstrąg żywi się mięczakami, robaczkami, a także owadami.

Pstrągarnia w Dubiu, nazwana przez dr Radziwońskiego „Rozinem“ na cześć hr. Róży Raczyńskiej, była własnością hr. Potockich z Krzeszowic przez przeszło 80 lat i ma niejedną piękną kartę w swej przeszłości. Jako pierwsza wylęgarnia pstrągów w Polsce, była pierwowzorem dla licznych, potem powstałych. Narybkiem własnej produkcji zarybiano nietylko okoliczne potoki, ale także dostarczano go dla Śląska i Małopolski.

Rózin, ulubione miejsce wycieczkowe Krakowian dla pięknego położenia, w głębokiej jurajskiej dolinie, o zboczach porosłych gęstym, mieszanym, lasem, leży nad potokiem w miejscu, gdzie liczne źródła tryskają z pod skał. Źródła te dostarczają wody do 5 stawów, w których hoduje się pstrągi. Nad jednym ze stawów sztuczna grota z altaną. Stare drzewa otaczają stawy zwartym wieńcem. Nad „wielkim stawem“ piękny dom, utrzymany w charakterze dworku myśliwskiego, z dużą salą na piętrze, staremi meblami i kominkiem. Drewniany domek, obok, chylący się już ku ziemi, to owa zasłużona stara wylęgarnia. Wewnątrz mrok i cichy szelest wody, sączącej się dość szerokiemi strumyczkami z filtru. W czasie kampanji wylęgowej (styczeń—maj), strumyczki te zasilają wodą, zasobną w tlen, kilkadziesiąt cynkowych pudełek. W pudełkach owych, na szklanych rusztach (system Coste'a), leży ikra. Pozyskuje się ją przez wyciskanie z dorosłych tarlaków żeńskich i miesza z mleczkiem, podobnie wyciśniętem z tarlaków męskich. Tak zapłodnioną ikrę układa się na owych rusztach. Ikra musi być stale pokryta wodą, ciągle świeżo dopływającą i dostatecznie zimną. Po 10 tygodniach wylęgają się z ikry młode pstrągi. Ponieważ pstrąg jest rybą drapieżną, osobniki większe zjadają mniejsze, więc narybek trzyma się w osobnych stawkach, lub rowach. Stosownie do wzrostu rozdziela się potem pstrągi do różnych stawów.



Pstrągarnia w Dubiu pod Krzeszowicami (woj. krakowskie).

Pstrągi tutejsze dorastają do 60 cm. długości i 2 kg. wagi.

Dziś pstrągarń w Polsce jest już wiele. Pstrągarnia w Dubiu, dzieło dr Radziwońskiego z r. 1850, obecnie 82-letnia staruszka, była tą pionierką, która przygotowała drogę nowoczesnemu rybactwu w Polsce i zasłużyła się dobrze w tak ważnej gałęzi naszego gospodarstwa.

Inż. ZDZISŁAW ŚLÓSARZ
(Krzeszowice).

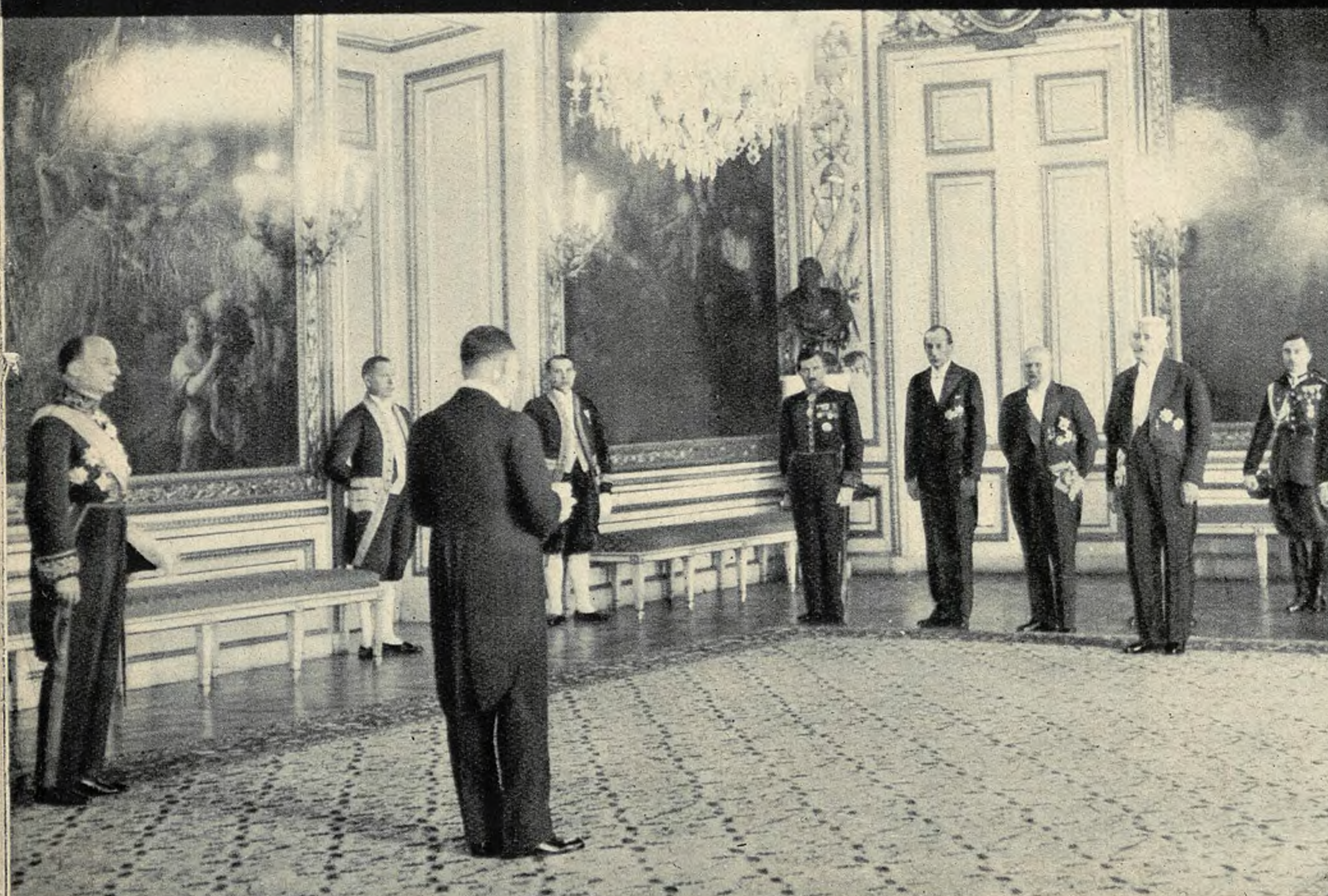
NOWY AMBASADOR STANÓW ZJEDNOCZONYCH W WARSZAWIE.

Nowy ambasador i minister pełnomocny Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, p. Ferdynand Lammot Belin.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AGENCJI FOT. „ŚWIATOWIDA".

W korpusie dyplomatycznym przy rządzie Rzplitej w Warszawie zaszła w ostatnich dniach zmiana na bardzo ważnem stanowisku. Ambasador St. Zjedn. A. P. p. Willys opuścił tę placówkę a na jego miejsce obecny prezydent St. Zjedn. mianował swoim przedstawicielem w Warszawie p. Ferdynanda Lammot Belin. Wprawdzie w najbliższych miesiącach skutkiem wyboru nowego prezydenta Stanów Zjedn. zajdą zapewne zmiany na stanowiskach zagranicznych przedstawicieli tego państwa, nie będzie się to jednak odnosić do stolicy naszego państwa. P. ambasador Lammot nie należy bowiem do żadnej z rywalizujących w Stanach Zjedn. partyj politycznych i dzięki temu, będąc w obecnej chwili mężem zaufania prezydenta Hoovera, pozostanie nim również wobec jego następcy, prezydenta Roosevelta.

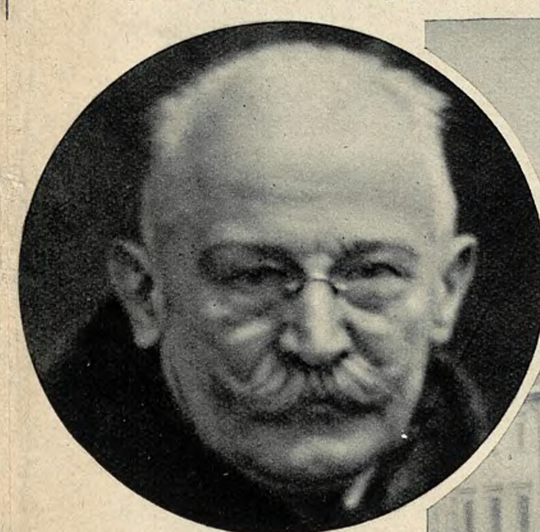
Wręczenie listów uwierzytelniających nowych ambasadorów odbywa się na Zamku królewskim w Warszawie, według uroczystego, już ustalonego ceremonjału. W tym wypadku ceremonjał ten nabiera szczególniejszej doniosłości, zważywszy, że chodzi tu o przedstawiciela państwa, związanego z nami stałą przyjaźnią, a do tego państwa, należącego dzisiaj do najpotężniejszych potęg światowych. Już przed wojną widocznem było, że Stany Zjednoczone rozwijają się po linji konsekwentnego postępu. Wojna światowa uwidoczniła to w całej pełni. Udział Stanów Zjednoczonych zadecydował o zwycięstwie koalicji a potężny umysł ówczesnego prezydenta Wilsona zaważył rozstrzygająco na długich obradach Kongresu pokojowego. Polska poczuwa się do trwałej wdzięczności wobec naczelnika amerykańskiej republiki, który w sławnych swoich punktach zasadniczych mocno podniósł konieczność wskrzeszenia państwa polskiego i dania mu dostępu do morza. Mimo, że polityka prez. Wilsona nie znalazła później oddźwięku wśród większości polityków Stanów Zjednoczonych, skutkiem czego nie ratyfikowały one traktatu wersalskiego i nie przystąpiły do Ligi Narodów, będącej przecież właśnie wzniosłą koncepcją prezydenta Wilsona, powaga Stanów nie ucierpiała bynajmniej i w okresie powojennym. Dzisiaj już nie można mówić o polityce międzynarodowej, nawet w zakresie europejskim, nie podkreślając wpływu tego państwa na bieg wszystkich spraw zarówno politycznych, jak i gospodarczych. Właśnie w obecnej chwili, gdy na porządku dziennym międzynarodowych obrad i trosk, stoją przedewszystkiem dwie sprawy: rozbrojenie i likwidacja długów wojennych, ani jedna, ani druga bez czynnego udziału zamorskiego mocarstwa, bez jego zgody i woli nie może być i nie będzie załatwiona. Polska z ufnością spogląda w tę stronę, związana z transatlantycką potęgą i temi jeszcze serdeczniejszemi węzłami, że mieszkają tam miljony naszych rodaków, którzy wiernie służąc idei państwowej Stanów Zjednoczonych, są równocześnie dobrymi patrjotami polskimi. To też osoba nowego ambasadora powitana została serdecznie nietylko w sferach oficjalnych, lecz i wśród całego naszego społeczeństwa.



Uroczyste wręczenie listów uwierzytelniających nowego ambasadora Stanów Zjedn. p. Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej. Po lewej stronie nowy ambasador, którego do sali wprowadził szef protokołu dyplomatycznego hr. Romer, odczytuje swoje przemówienie. Po stronie prawej, obok p. Prezydenta Rzeczypospolitej stoją po jego prawej ręcę pp. prez. Rady ministrów Prystor, min. Spr. Zagr. Beck i radca Sośnicki.



Ambasador Lammot Belin (w futrze), opuszcza apartamenty zamkowe w towarzystwie szefa protokołu dyplomatycznego hr. Romera.



Dotychczasowy poseł Rzplitej przy rządzie Sowietów w Moskwie, p. Stanisław Patek, mianowany ambasadorem polskim w Waszyngtonie.



Nowy ambasador Stanów Zjednoczonych po wręczeniu p. Prezydentowi listów uwierzytelniających, opuszcza Zamek królewski w samochodzie, za którym jedzie szwadron honorowy.



Girlsy jednego z londyńskich teatrzyków w czasie porannych ćwiczeń. *Photopress — Londyn.*

BUKIET PIĘKNYCH NÓŻEK.

Człowiek składa się z duszy i ciała...

Sprostujmy, a raczej zaktualizujmy to powiedzenie:

— Z duszy, ciała i długów...

Kobiety zaś składają się z duszy, ciała i nóżek. Przedewszystkiem z nóżek! Oczywiście rasowych i pięknych, bo inne nie liczą się tak, jak raty amerykańskie we Francji i w Polsce. Można ich nie płacić, względnie nie oglądać.

Nóżkom poświęcono już tyle artykułów, poematów, sonetów, i serenad, że napisać coś nowego o tym temacie, jest doprawdy trudno. Trudniej jeszcze, niż znaleźć np. klejnoty Ciunkiewiczowej.

Ale spróbuję:

Powiedział ktoś: „że nie pomoże najpiękniejsza łydka, jeśli okrywa ją pończocha brzydka".

Nic słuszniejszego! Stąd wniosek, że nóżka musi być okryta, czyli ubrana w jedwab, lub fil d'Ecosse i w zgrabne pantofelki, koniecznie warszawskie. Wtedy dopiero występuje w całej okazałości ich linja, która powinna być strzelista, jak akt nadziei i finezyjna, jak feljeton Nowakowskiego.

Bywają różne nóżki: niewinne, zalotne, zmysłowe a przedewszystkiem kuszące. Każda zaś ładna nóżka jest haczykiem, na który łapie się mężczyzn.

Najintezywniej te łowy odbywają się w czasie karnawału.

Dlatego mężczyźni: baczność!" Karnawał się zbliża.

Przez nóżki bowiem niejeden już wpadł i to tak gruntownie, że aż na sam ołtarz. A ołtarz małżeński to jest święta, ale djabelnie nudna rzecz.

Więc uważać, nietyle na zakrętach, ile na salach balowych, na redutach Sylwestrowych i na dancingu u Trzaski w Zakopanem, czy w Krynicy, czy wreszcie w Otwocku, gdy wykwitnie przed wami bukiet pięknych nóżek, a szampan zawróci wam w głowie i pozbawi was wrodzonej ostrożności, właściwej panom świata.

Periculum in... „zmora". **Kum.**



Nóżki gwiazd filmowych są zawsze piękne i kuszące. *Wide-World Photos — Paris.*

TERORYŚCI PRZED SĄDEM DORAŹNYM WE LWOWIE.





Oskarżony Biłas zeznaje przed sądem.

Teroryści ukraińscy, którzy dokonali napadu na pocztę w Gródku Jagiellońskim (siedzą w pierwszym rzędzie) w czasie rozprawy, toczącej się w sali Szpitala Okręgowego we Lwowie.

Członkowie ukraińskiej organizacji wojskowej, którzy dokonali napadu na pocztę w Gródku Jagiellońskim, oraz w czasie pościgu zastrzelili policjanta a drugiego ranili i na których sumieniu jest mord, dokonany w ubiegłym roku w Truskawcu na osobie ś. p. posła Hołówki, stanęli w tych dniach przed sądem doraźnym we Lwowie, aby odpokutować za swoje winy.

Oskarżeni przeważnie wykazali skruchę, jeden tylko Danylyszyn odmówił wszelkich zeznań.

Surowy wyrok, jaki spotkał oskarżonych, będzie zapewne ostrzeżeniem dla tych niepoczytalnych żywiołów, którym zależy na tem, aby stosunki polsko-ukraińskie utrzymać w stanie ciągłego rozognienia i jątrzenia.



Ława obrońców.

POLOWANIE WIGILIJNE.

Wokół zbudzonej ze snu wagonowego głowy, tłukły się resztki snu, wspomnień i widziadeł jakichś, które spłoszył czyjś głos...

— Na następnym przystanku pan wysiada...

— Dziękuję.

W drzwiach wagonu zamigotała karbidowa latarka konduktora, sucho trzasnęły zapory coupe...

Miarowe kołysanie wagonu i ciepło przedziału nęciło do zasłużonego snu, po długiej podróży, ale jeszcze gdzieś tam pod sklepieniem rozdygotanego pudełka dźwięczało echo słów...

— Na następnym przystanku...

Następuje błyskawiczna lustracja bagażu. Futerał ze strzelbami, walizka, pled i półkożuszek... Na myśliwskie tradycyjne łowy przed wigilją, nie potrzeba wiele pakunków. Trochę naboi, flanela do przetarcia zapoconych luf, sportowe ubranie i ochota łowiecka wystarczą... Wszystko złożone już „pod ręką“, oczekiwać należy teraz stacji... Poza oknami wagonu, jak w czarodziejskim kalejdoskopie, przesuwa się okolica cała pod śniegiem leżąca, ukołysana bajkami o zimie... Pomiędzy ciemnemi smugami borów, wybiegają ku nam srebrne w świetle księżyca polany, tu i ówdzie jak szereg białych stożków ukaże się wieś uśpiona i ślepa ciemnemi oknami, i znów bory i bory, które się w krainie tej ciągną nieprzerwanym łańcuchem hen! aż po knieje Witebszczyzny... Inny świat, jak zmienna teatralna dekoracja, od tego, któryśmy przed kilku godzinami poza sobą pozostawili...

Ludne, szeregami lamp oświetlone labirynty ulic, wrzask automobilowych sygnałów i dźwięki orkiestry, dolatujące z kawiarni czy restauracji, snem jakimś gorączkowym się wydają. Człowiek zagubiony nocą na dystansie kolejowym, przestaje sobie zdawać sprawę z tego, co ułudą, a co rzeczywistością...

Ale pociąg zwalnia biegu. Już koła wagonów ze szczękiem omijają spojenia szyn, zgrzytają łańcuchy, jedno, dwa zamigotały za oknami światełka. Ktoś nosowym zaspanym głosem wywołał nazwę stacji. Wysiadamy...

Za chwilę pociąg rusza dalej, a wokół czernią się tylko już lasy, lasy, podbite białem tłem śniegu i maleńki z brewion klecony domek stacyjny... Robi się jakoś człowiekowi nieswojo i niewiadomo, co z bagażami zrobić...

Ale oto cień jakiś od budynku stacji się odrywa i idzie ku nam. Ktoś nas oczekiwał, ktoś tu o nas pamięta.

— Z Miedzwiednik?

— Tak, konie podano.

Całe szczęście, więc jedziemy... Poza stacją oczekują nas sanie i futra, w których toniemy po szyje... Zaszczękały janczary. Jedziemy...

Dwadzieścia wiorst (kilometrów „czystą“ pusz- czą, dawnym traktem łowieckim).

Ja-a-a-zda!!

— — — — — — — — — — —

Poprzez kolumnadę piramidalnych świerków zamigotały światełka okien dworu. Konie ruszyły raźnego kłusa. Fanfaronada „zawijania“ przed gankiem drzwi skrzypnęły i złota smuga światła ucałowała leżący przed gankiem dworu śnieg.

— Czekamy, prosimy!!

— Myślałem, że redaktor nie łaskaw będzie...

— Ależ skądże...

— Gościa mamy i Marjan przywiózł jakiegoś facetnego gościa z Warszawy... I pani Ola jest.

— A... a... a...

— I wilki będą.

— O... o... o...

Dobrotliwe ciepło i jasność starej ludzkiej sadyby przesiąka w takich chwilach przez wszystkie pory ciała... A jak rozmarzająco szumi samowarek, jak piękne są uśmiechy pań, jak patriarchalnie trzaska ogień na kominie...

Ale komu jutro do knieji, temu dziś spać...

Poza oknami dworu cicho, poważnie szemrała ośnieżona knieja.

— — — — — — — — — — —

Ponieważ jest to dzień wigilijny, ponieważ strucle mogą się nie udać, ryby „po żydowsku“ mogą być „na psa“ i ponieważ z wyż podanych powodów panie od rana chodzą bardzo podniecone, chwytajmy co rychlej broń na flintpasy i do puszczy...

Tembardziej, że tradycja tak każe i że przed dworem długim szeregiem oczekują „rozwalinowe“ sanie, które nas odwiozą do boru.

— Parami, parami panowie, byle prędzej, ludzie już oczekują w lesie...

— A wódkę masz na pogrzebowe?

— Mam.

— Pani Ola jeszcze nie gotowa!

— Przepraszam, już jestem...

— A puderniczki pani nie zapomniała?

— Panie Szczurku, proszę być grzecznym.

— Jazda!

Małe kudłate mierzyny kresowe ruszyły z miejsca raźnego truchta. Pod drewnianemi płozami wesoło skrzypiał zmarznięty śnieg.

— Słuchaj-no Marjan, coś ty za kukłę przywiózł z Warszawy?

— To wielki dygnitarz, kolekcjonuje kaktusy i autografy wielkich ludzi.

— Ale cóżto za jeden?

— Taki sobie. Poznałem go u Karolostwa. Ale to sława. Nawet sam Gandhi w Londynie rękę mu podał.

— A cóż to za pani Ola?

— Acha, tu cię boli...

— No niekpij, a gadaj...

— Tatarka autentyczna. Ale co za rasa, jakie oczy, ręce... nogi, co?

— Tak piękna. Poluje?

— Zdaje się, że poraz pierwszy jest na polowaniu w knieji, ale jaki ma rozkład serc męskich upolowanych na dancing-bridżach... Człowieku, nie zabiłeś tyle zajęcy, co ona serc!

— A jak tam horoskopy na dzisiaj?...

— Dziś już ciebie ustrzeliła!

— Ja się pytam o knieję.

— Mają być wilki, ale i dziki też być mogą... Szaraki pewne...

Szeroka droga leśna zwęziła się do ciasnej gardzieli przesmyku leśnego, nad którym zawisły jak gzymsy gotyckie, obciążone śniegiem gałęzie jodeł.

Droga stała się kopną i ciężką... Konie szły stępa w kłębach pary, która unosiła się nad spoconemi ich grzbietami...

— Daleko to jeszcze, Daniłko?

— A Boh jeno wiedaje? Wiorst tri. Za toj leś na ług i ono ludzie czekajut'...

Trzy wiorsty w zrozumieniu wieśniaka kresowego, rozciągają się niekiedy do długości mili, lub dziesięciu kilometrów, ale las jest tak piękny, że jechać przezeń warto...

Podszyta gęsto knieja, przybita zwałami ostatnich śniegów, wymodelowała się w wydmy śnieżne, niesamowite i niedające się opisać w kształtach swych bujnych, a kolistych... Całe kolumny świerków z przygniecionemi wdół gałęziami tworzyły labirynty piramid zastygłych w mrowie olbrzymich stalaktytów.

Ale na środku drogi, na nieskazitelnym jej białym tle zamajaczył szereg szarych ludzkich postaci. W kożuchach i kapotach, grzejąc się przy ognisku, oczekiwała nagonka.

— Zdarowo Daniłko! Gości wieziesz...

— Gości, samych panów i pani jest...

— Nasza?

— Nie, cudza, miastowa jakaś...

— Cóż to babionkom za ochota z strelbą po boru łazić.

— Taka już widno moda...

Kolejno zajeżdżały sanie, wyrzucając z siebie po dwie uzbrojone postacie myśliwych. Chwila narady, certowanie się o stanowiska i pieszy marsz na linję strzelecką...

— Pani pozwoli rękę, pani Olu...

— Nie, dziękuję, sama pójdę...

— Jak się pani wydał towarzysz w sankach...

— Ach, panie, to dziwak jakiś. Całą drogę opowiadał mi o tem, jaka jest różnica pomiędzy Eochino Coctus, a Elektrocautusem. On ma sieczkę w głowie, w której pielęgnuje swoje kaktusy. A na koniec wie pan z czem wyskoczył?

— No, ciekawym?

— Oświadczył mi się. Powiedział, że potrzebuje na gwałt żony, by mu te szkaradztwa kaktusy pilnowała, jak on będzie w ministerstwie.

— No wie pani, to jest bezczelność. Poślę mu sekundantów...

— Nie ma pan innych zmartwień?

— Owszem, tylko jedno.

— Jakie?

— Że pani mnie nie kocha...

Z tyłu nadbiegł gajowy...

— Pan tu stanie, a pani tam, ot za tamtym słupkiem...

— Dobrze...

Szary sługa leśny pobiegł dalej cicho jak borowy cień.

— Więc, Pani Olu?

— Odpowiem, gdy pan dziś będzie zwycięzcą.

— Zgoda...

A tymczasem, niebaczna na ludzkie zabawy, do wielkiego misterjum łowów wigilijnych przygotowywała się knieja... Nie przeszył jej jeszcze żaden głos ludzki, a ziemia puszczańska nie zadygotała jeszcze żadnym staccatem galopu spłoszonego zwierza, ale już poprzez drgające w słońcu iskierki mrozu, przebiegł elektryczny prąd oczekiwania, już tu i tam rozsypawszy się w białą mgiełkę śnieżną, zsunął się biały zwał z gałęzi...

Aż gdzieś tam, poza tą białą mozaiką z piramid jodeł i gęstego podszycia, powstał głos cichy jeszcze i śniegiem przytłumiony, który narazie nierozpoznawalny, mieszał się z horałem drzew, aż głośniał i potężniał, wybijając się niekiedy pojedyńczemi głosami ludzi, w bojowy zew nagonki...

Ruszyli...

Baczność — chwila nadeszła. Broń odbezpieczona zamienia się w narzędzie śmierci...

Zamilkł teraz las, a serca załomotały głośniej... Trzasnęła gałązka. Nie, to tylko złudzenie. Cisza przecież panuje w lesie zupełna... Ale gałąź przemarzniętego suszu trzasnęła znowu... Niedostrzegalny jeszcze dla ludzkiego oka sunie gdzieś zwierz. Ale tak bezpośrednio po oderwaniu się nagonki? Musi to być drapieżca jakiś o nieczystem sumieniu. Teraz oto coś poruszyło się wśród krzewów. Czy to złudzenie zmęczonych wypatrywaniem oczu? Nie, to wilk. Bieży między linją myśliwych, a zacieśniającym się łukiem buczków... Chce zbiec... Sunie szybko, od czasu do czasu oglądając się na boki. Więc działać.. Teraz go przesłania jodła, ale teraz widocznym jest wyraźnie na białem tle...

Taf!

Dym, nic nie widać...

Ale teraz...

Widać go dobrze. Leży i łapami drze śnieg. Jeszcze parę drgnięć i zastygł w bezruchu...

Opodal, strzałem spłoszone pogalopowały sarny. Śmigając przez zwały drzew, piękną linję nakreślił w skoku kozioł...

Z prawego skrzydła załomotały strzały...

Z nagonki odtrąbiono zejście ze stanowisk i zaprzestanie ognia. Brnąc po kolana w poduchach śniegu, do zastrzelonego wilka sunie pani Ola...

— Nie żyje?

— Trup.

— Ale, jakiż duży?...

— To wilk koniarz, proszę spojrzeć na te duże łapy i szeroki łeb...

Wielki łeb wilka spoczywał bezładnie na śniegowem posłaniu. Jasno-szara zimowa sierść kondotjera knieji na boku poczerniała plamą krwi, a łapy, potężne do pościgu przywykłe łapy bezwładnie spoczywały wśród gałązek jedliny...

Ale niecierpliwy głos trąbki do zbiórki nawoływał, na nowy miot, na nowe przygody...

Powoli, nieznacznie, szaro-fioletową mgiełką, na puszczę opadał mrok zimowy... Jak szare żórawie, długim szeregiem ciągnęły ku ludzkim osiedlom sanie myśliwskie.

Wesoło teraz i gwarnie, rozochocone dniem w knieji spędzonym i radosne w oczekiwaniu na święty nastrój wigilijnego wieczoru...

Rada z ubicia dwu szaraków, wesoło gwarzyła pani Ola.

— Pani Olu, a moja odpowiedź?

— Jaka?

— Wtedy gdy byliśmy na stanowisku.

— Wiem, pamiętam, odpowiem po kolacji...

Radośnie zajeżdżały sanie przed oświetlony dwór, w oknach którego iskierkami świec witała ich choinka...

Na stole, sianem pokrytym oczekiwała Wigilja.

— — — — — — — — — — —

Dyplom prawdziwego myśliwego winien posiadać na sobie co roku, odnawianą pieczęć łowów wigilijnych. Tak chce tradycja, której przełamać i pominąć niepodobna. Można pominąć dzień św. Huberta, zlekceważyć pierwszą ponowę, ale na polowanie wigilijne jechać trzeba nieodzownie. Cały też rok i we wszystkie sezony łowieckie zbiera się t. zw. „śmiertelną śrucinę“. Są to z ubitej zwierzyny dobywane ołowiane ziarenka naboi, które mają właściwość śmiercionośną i ponownie nabijane są do ładunków, które mają być wystrzelone w wigilję.

— — — — — — — — — — —

W knieji zapadła cisza zupełna. Święcąc tradycję na szczytach jodeł, na ciemnem niebie zapłonęły gwiazdy...

Do snu zimowego układał się las...

Tylko może z wiosną, gdy białe śniegi stopnieją, a słońce wiosenne ziemię puszczańską przygrzeje, ciemne jodły, knieji żałobnice, ptasiej dziatwie opowiadać będą o dniu tym białym wigilijnym, gdy to zbója wilka w puszczy ubił człowiek.

Feliks Dangel (Wilno).



Zawiana śniegiem knieja na Wileńszczyźnie.
Fot. Zdanowicz — Wilno.



Ubity wilk.



W odwiecznej puszczy kresowej, gdzie czai się dziki zwierz. *Fot Zdanowicz — Wilno.*

INDYK PRZYSMAKIEM WIGILIJNYM ANGLJI.



Anglja, podobnie jak Francja, nie uznają postu w dniu Wigilji, który u nas jest przestrzegany. Podczas gdy obiad wigilijny w Polsce składa się głównie z ryby, wigilja w Anglji obiera sobie za punkt centralny smacznego indyka, po którym spożywa się sławny pudding śliwkowy. Nic więc dziwnego, że już na kilka tygodni przed Bożem Narodzeniem, gospodynie angielskie troszczą się o wybór pięknych indyków na Wigilję. Na zdjęciu naszem widzimy szereg panien z bogatych domów angielskich, które wyprawiły się w poszukiwaniu najpiękniejsszych indyków w okolice. Każda z nich z prawdziwą miłością obejmuje dorodnego indyka, który niebawem postrada swoje piękne upierzenie i pójdzie pod nóż.

ŚMIERĆ „LATAJĄCEGO DZIECKA".



Całe Włochy dumne były z najmłodszej swojej lotniczki Gaby Angelini, która rozpoczęła latać, mając lat 15-cie. Wszystkie jej wyprawy lotnicze śledzone były z ogromnem zaciekawieniem przez publiczność włoską. Nic więc dziwnego, że upojona sukcesami Gaby, zwana „latającem dzieckiem", postanowiła dokonać przelotu, który z całą pewnością przekraczał jej zdolności orjentacyjne i wytrzymałość nerwową. Wyleciała ona z lotniska w Rzymie, kierując się przez Trypolis do Indyj. Jednakowoż w pierwszym etapie lotu spotkała ją katastrofa. Dostawszy się w gęstą mgłę, zmuszona była do lądowania i przy lądowaniu roztrzaskała aparat w okolicy Ksour el Mehiahiz. Krajowcy, którzy przybiegli na miejsce wypadku, znaleźli tylko szczątki aparatu, pod któremi pogrzebana była szesnastoletnia lotniczka. Na zdjęciu 16-letni6a Gaby Angeli, uśmiechająca się przed startem do Indyj. Nie przeczuwała, że z podróży tej już nie wróci...

I PAPUGI LUBIĄ PRZEGLĄDAĆ SIĘ W LUSTRZE.



Zdawałoby się, że monopol na przeglądanie się w lustrze posiadają kobiety. Tymczasem szczególnym zapałem do zwierciadeł wszelkiego gatunku płoną.. także papugi. Sprytne te stworzenia przeglądają się o każdej porze dnia w lustrach, aby najwidoczniej podziwiać swoje piękne upierzenie. Mają tę niewątpliwą przewagę nad kobietami, że zachowują swój kolor naturalny i piękne upierzenie aż do stu i więcej lat...

Niestety i popularność papug została zachwiana, nie tyle może na skutek kryzysu, który nie pozwala na kupowanie papug, ale przedewszystkiem na skutek przykrej i złośliwej „choroby papuziej", która przed kilku laty wybuchła w różnych ośrodkach Europy i Ameryki. Choroba ta zwana z łacińska „psitacosis", spowodowała śmierć szeregu osób, zadraśniętych dziobem zarażonych papug. Wybuch tej choroby spowodował generalne wyzbywanie się papug, lub nawet uśmiercanie tych ptaków.





ONA SIĘ KĄPIE, GDY MY MARZNIEMY.



Znana artystka filmowa Rochelle Hudson, w najmodniejszym kostjumie kąpielowym na plaży kalifornijskiej, gdzie obecnie panuje wiosna. SCHERL.

Są na świecie takie szczęśliwe kraje, które posiadają dwa odmienne klimaty w tej samej porze roku. Do takich wybranych krajów należy Ameryka Północna. Na pobrzeżu wschodniem Stanów Zjednoczonych i na granicy kanadyjskiej panuje w grudniu, styczniu i lutym pogoda przykra, niejednokrotnie bardzo śnieżna i mroźna. — W tym czasie wybrzeże kalifornijskie cieszy się pogodą słoneczną i otwiera najlepszy swój sezon. Te różnice klimatyczne w obrębie jednego państwa świadczą, jakim olbrzymem pod względem przestrzeni są Stany Zjednoczone.

Nic więc dziwnego, że bogaci Amerykanie mogą przez cały rok rozkoszować się blaskiem słońca, przerzucając się po lecie i jesieni spędzonej na Florydzie do Kalifornji na czas zimy. Riwierze kalifornijskiej wyposażonej bogato przez naturę, dodaje blasku i uroku fakt, iż przebywają tam tłumnie gwiazdy męskie i żeńskie największych ośrodków filmowych, głównie Hollywoodu.

W chwili, gdy u nas w Polsce panuje przygnębiająca aura, poprzedzająca nastanie zimy i gdy łazimy w ciężkich futrach, na wybrzeżu kalifornijskiem odbywają się konkursy na nowe stroje kąpielowe. M. i. wylansowano w obecnym sezonie kostjum, który w górnej swojej części składa się z pewnego rodzaju bogatej chusty, zawiązanej w fantazyjne kokardy, głęboko poniżej... pleców, oraz z tyłu na szyji. Oryginalny ten kostjum kąpielowy odsłania plecy nadobnych artystek i przynosi żywe kolory na plażę kalifornijską. Takiemu kostjumowi, jak widzimy, hołduje urocza przedstawicielka ekranu Rochelle Hudson, która zdobywa sobie coraz większy rozgłos w Stanach Zjednoczonych.

TAJEMNICA POKOJU Nr. 29 W GRAND HOTELU.







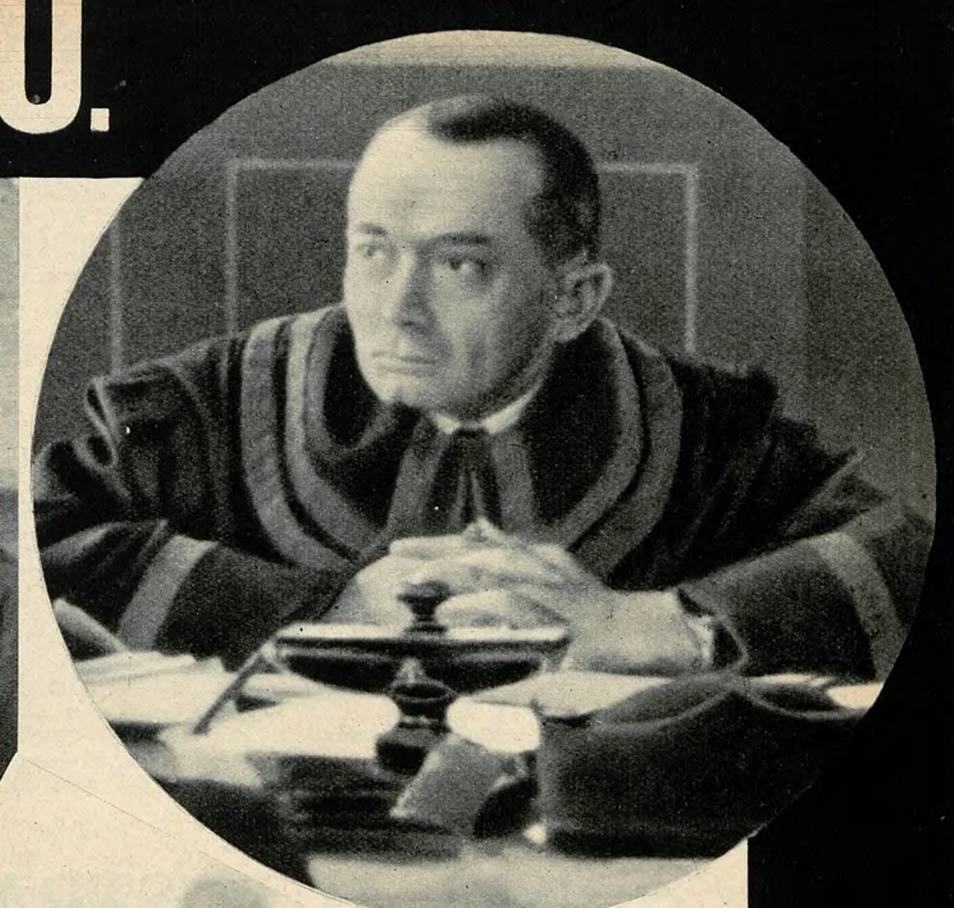
Marja Ciunkiewiczowa na ławie oskarżonych.

Obrońca oskarżonej dr. Woźniakowski.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWID"



Świadek Zakrzewska zeznaje przed Sądem. Na prawo Trybunał sądzący.



Prokurator Dr Łaba.

Marja Ciunkiewiczowa, która stawała przed sądem krakowskim, oskarżona o sfingowaną kradzież klejnotów, futer i pieniędzy, w celu wyłudzenia premji asekuracyjnej, od towarzystwa francuskiego, w którem była ubezpieczona na kilka miljonów, została skazaną na 15 miesięcy więzienia, z zawieszeniem kary na pięć lat.

Oznacza to, że jeżeli oskarżona w ciągu pięciu lat będzie zachowywać się nienagannie, t. zn. nie przekroczy kodeksu karnego, to kara będzie jej darowana.

Proces Ciunkiewiczowej odbywał się wśród ogromnego zainteresowania publiczności, która staczała formalne walki o bilety, aby dostać się na salę rozpraw. Wszyscy bowiem chcieli widzieć, jak wygląda ta „miljonerka", o której klejnotach i niezwykłej karjerze życiowej krążyły legendy.

Ciunkiewiczowa przez cały czas rozprawy niedenerwowała się. W pewnym tylko momencie, gdy obrońca jej dr Woźniakowski mówił o jej przeszłości, łzy zabłysnęły w jej oczach. Odpowiedzi jej były spokojne. Zapewniała ciągle, że jest niewinna.

Sąd jednak przyszedł do innego przekonania, choć niezbitych dowodów jej winy nie było. Wedle jednak nowego kodeksu karnego, który obecnie w Polsce obowiązuje, wystarczy, jeżeli sąd nabierze przekonania o czyjejś winie, aby mógł wydać wyrok skazujący. To głębokie przekonanie miał widocznie Ttybunał sądzący, przeciwko bowiem oskarżonej przemawiały wszystkie poszlaki. Nie zauważono bowiem nikogo podejrzanego, ktoby wchodził lub wychodził, z jakiemikolwiek rzeczami, w krytycznym czasie z Grand-Hotelu, gdzie kradzież popełniono. Stwierdzono, że oskarżona znajdowała się w kiepskich warunkach finansowych i rozpaczliwie poszukiwała gotówki. Eksperci orzekli, że rozcięcia waliz dokonał ktoś niefachowy i t. d. Strażnik graniczny zeznał, że rewidując rzeczy Ciunkiewiczowej na granicy w Zbąszyniu nie widział w walizach ani futer, ani kosztowności. Podejrzanem także się wydawało, dlaczego oskarżona paliła sama w piecu, mając do dyspozycji służbę?

Wszystkie te momenty, które zostały uwypuklone w czasie rozprawy, starał się obalić obrońca i z zadania tego wywiązał się świetnie. Jego trzygodzinna mowa była naprawdę z zainteresowaniem słuchana. Nie przekonała jednak sędziów...



Rzeczoznawcy pp. Piątkiewicz i Jastrzębski wydają ekspertyzę o rozcięciu walizek Ciunkiewiczowej.



Hotel „Savoy" (na zdjęciu) w centrum Warszawy przy ul. Nowy-Świat 58 jest bardzo lubiany przez wytworną publiczność całego kraju. Obecnie hotel ten został gruntownie odremontowany, a zastosowanie w nim nowoczesnych urządzeń hotelowych, jak również przystępne ceny za pobyt, sprawiły, że stał się on najmilszem miejscem zamieszkania dla odwiedzających stolicę. 507

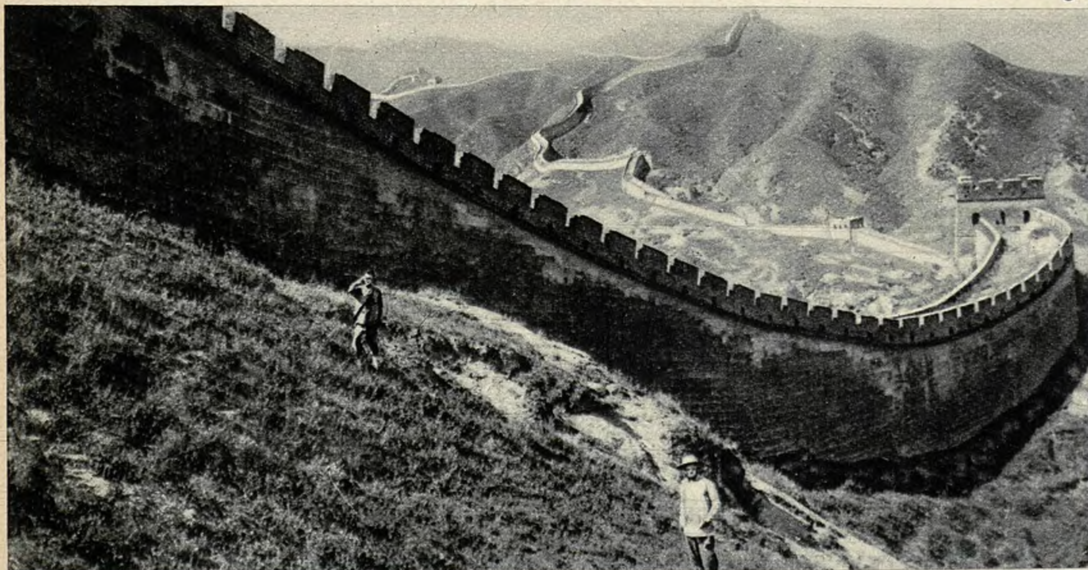
Świadek Mittelmanowa w czasie zeznań.

CZERMAŃSKI W HOLLYWOOD.



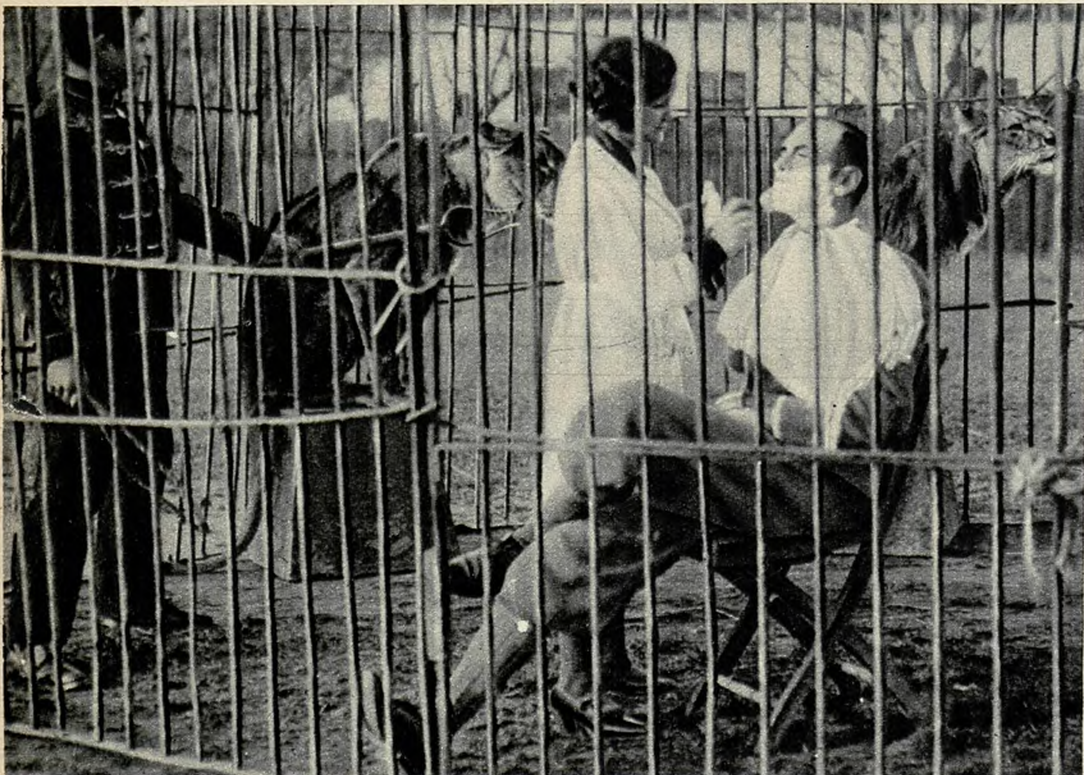
Najświetniejszy polski karykaturzysta, Czermański (na zdjęciu), przebywa obecnie w Hollywood, gdzie podpatruje śmiesznostki gwiazd i gwiazdorów filmowych. Czermański jednak nie jest tem środowiskiem zachwycony. Uważa, że jest ono banalne i przereklamowane.

MUR CHIŃSKI AUTOSTRADĄ.



Rząd chiński postanowił słynny mur, który opasywał całe państwo, a zbudowany został przed dwoma tysiącami lat dla ochrony przed napadami ludów pogranicznych, zamienić na autostradę. Mur ten bowiem posiada 8 m. szerokości, a długość jego wynosi 2.500 km. W ten sposób bezdrożne Chiny zyskają wspaniałą szosę, a stary zabytek zostanie uratowany od zniszczenia.

FRYZJERKA O SILNYCH NERWACH.



W cyrku Braci Fryskis w Wiedniu popisuje się 19-letnia fryzjerka Klara Kozubek goleniem gości w klatce z lwami. Pomimo, że p. Klara nie żąda zbyt wygórowanych opłat za golenie, nie wielu kwapi się, aby przepędzić kilkanaście minut z brzytwą na gardle, w towarzystwie dzikich synów pustyni, asystujących przy tych zabiegach balwierskich. Czysty dochód z tej imprezy przeznaczony jest na „dożywianie" lwów.

CZYŻBY ZAMACH NA WILHELMA?



Do zamku Doorn w Holandji, gdzie przebywa na wygnaniu b. cesarz Wilhelm, korzystając z nieuwagi służby, wtargnął jakiś osobnik i próbował dostać się do Wilhelma, został jednak przytrzymany i ubezwładniony. Przy rewizji znaleziono w jego kieszeni rewolwer dużego kalibru. Tajemniczy przybysz, który, jak stwierdzono, jest Niemcem i pochodzi z Nadrenji, tłumaczy się, że chciał Wilhelmowi doręczyć list od Hitlera. Zdaje się jednak, że jest to człowiek pomylony. Na zdjęciu b. cesarz Wilhelm na tle zamku w Doorn.

WŁASCIWY CZŁOWIEK, NA WŁAŚCIWEM MIEJSCU.



Urzędnik, pełniący służbę w biurze informacyjnem Głównego Urzędu Telegraficznego w Berlinie, jest w całem tego słowa znaczeniu właściwym człowiekiem na właściwem miejscu, włada bowiem, ni mniej ni więcej, tylko 23-ma językami. Ktokolwiek więc przybędzie na pocztę, może bez trudności porozumieć się z nim. Polski język przyswoił sobie ten człowiek widocznie nieświetnie jeszcze, bo na wywieszce napisał „tu mowiano po polsku".

27. GRUDNIA 1918.

JAK WIELKOPOLSKA RWAŁA WIĘZY.



Rozbrajanie Niemców na odwachu na Starym Rynku w Poznaniu przez Powstańców dnia 27. gru nia 1918 r. Obraz Leona Wróblewskiego.

W dobie odzyskania naszej niepodległości, zabór pruski zajął początkowo stanowisko wyczekujące. Trudno osądzić, czy zadecydowało tu polityczne nastawienie Polaków b. zaboru, przeciwne naogół walce zbrojnej o niepodległość, czy też pewna może nadmierna trzeźwość, która cechowała Wielkopolan, Pomorzan i Ślązaków — wychowanych pod hasłem walki ekonomicznej. Porażka państw centralnych, upadek kolosu pruskiego, zwycięstwo Koalicji, zadokumentowane rozejmem w Compiegne z 11 listopada 1918 r., nie wywołało w zaborze pruskim odruchu, prowadzącego realnie ludność polską ku niepodległej Macierzy. W okresie, gdy zabór austrjacki i rosyjski wolą ludności stworzył niepodległe państwo polskie, gdy Małopolska wschodnia walczyła rozpaczliwie o wolność polskiego Lwowa, Wielkopolska zdobyła się tylko na deklaracje, w których domagała się niepodległości.

Skąd pochodził ten impas? Dlaczego ziemie najbardziej polskie, najbardziej politycznie uświadomione w owej chwili dziejowej okazały bezwolę? Zwróciły oczy ku Paryżowi i Komitetowi Narodowemu, miast chwycić za broń i wykorzystując upadek państwa niemieckiego okazać wobec całego świata wolę przynależenia do niepodległego państwa polskiego? Trudno dziś problem ten rozstrzygnąć autorytatywnie, trudno ustalić, czy taktyka ta była głęboko przemyślaną trzeźwą oceną położenia, czy też brakiem inicjatywy i bezmyślnem wprost skostnieniem w doktrynie tych, którzy na przełomie dziejów posiedli w zaborze pruskim rząd nad duszami swych rodaków.

Poglądy polityków wielkopolskich, potwierdzone wprawdzie z początkiem grudnia 1918 przez Sejm Dzielnicowy, zamroziły chwilowo żywsze uczucia ludności, skrępowały ręce, stępiły ostrza szabel i bagnetów tych, którzy wyrośli na wzorach Drzymałów i dzieci wrzesińskich.

Długą i mozolną była droga do odpowiedniego ideologicznego nastawienia ludności. Polska Organizacja wojskowa b. zab., żyjąca od wiosny 1918 hasłami walki zbrojnej o niepodległość, w decydującej chwili nie okazała niestety mocy i siły, dostatecznej do podburzenia ogółu do czynu. Na widowni pojawił się jednak po wybuchu rewolucji niemieckiej nowy czynnik, o znacznej i wręcz decydującej żywotności. Była to grupa Polaków b. żołnierzy pruskich, którzy częściowo z własnego porywu, częściowo inspirowani przez Warszawę, rozwinęli akcję, zmierzającą do zrzucenia jarzma niewoli drogą czynu zbrojnego. Równocześnie w całym zaborze organizowane polskie straże ludowe i wpływ Polaków na administrację kraju, uzyskany dzięki udziałowi w pracach rad rob.-żołn., podniosły u schyłku 1918 r. nieomal automatycznie temperaturę umysłów wśród ludności polskiej. Stan ten zaznaczył się najsilniej w Wielkopolsce; na Pomorzu, Śląsku i w Prusach Wschodnich tętno polskiego życia publicznego pozostało nadal spokojne.

W świetle krytyki historycznej wyda się zagadką, dlaczego nieprzygotowane zgóry powstanie wielkopolskie wybuchło dnia 27 grudnia 1918 r. Z faktów, szeregu dokumentów i relacyj, odnoszących się do zakonspirowanych działań P. O. W. b. zaboru pruskiego i grupy wojskowej (Palucha i Hulewicza) niełatwo dotrzeć do sedna sprawy. Trudno przedewszystkiem zrozumieć, dlaczego politycy wielkopolscy odmówili w listopadzie współudziału w gabinecie narodowym, tworzonym przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego. Trudno ustalić, dlaczego wielkopolskie sfery polityczne przemilczały wobec ludnści manifest rządu warszawskiego z końca listopada 1918 r., ogłaszający w zaborze pruskim wybory do polskiego Sejmu Konstytucyjnego. Przypuszczać należy, że działania te odgrodzić miały ludność od polityki faktów dokonanych. Ponad plany sfer politycznych wyrosła jednak wola stopniowo uświadamianej ludności, której nieznośnem wydało się oczekiwanie wyroku kongresu pokojowego w dobie, gdy o miedzę istniało już niepodległe państwo polskie, wyciągające bratnią dłoń do dzielnicy piastowskiej, Niepodległa Macierz, całem sercem przygarniająca do siebie, zbrojąca i do walki o niepodległość przygotowująca tych Wielkopolan, którym w rodzinnych stronach zbyt duszną wydała się atmosfera wyczekiwania.

W tych warunkach zbiegły się u schyłku 1918 r. dwie okoliczności, które zadecydowały o wybuchu powstania wielkopolskiego. W towarzystwie Misji angielskiej przybył do Poznania Ignacy Paderewski, witany owacyjnie jako sławny rodak i wybitny działacz w Komitecie Narodowym w Paryżu. Entuzjazm ludności polskiej wywołał gwałtowny sprzeciw żołnierzy pruskiego 6-go pułku grenadjerów, którzy nieomal równocześnie z Paderewskim zawitali w swym garnizonie. Ówczesny widok Poznania przekonał ich o ostatecznem bankructwie celów, dla których przez 4 lata walczyli wśród najokropniejszych wysiłków i ofiar. Szóstaków ogarnęło rozgoryczenie na widok flag koalicyjnych, któremi ludność polska przystroiła domy, chcąc godnie przywitać — nie ich, lecz Paderewskiego i przedstawicieli zwycięskiej armji angielskiej. Na tem tle doszło w Poznaniu dnia 27 grudnia 1918 roku do demonstracyj niemieckich, podczas których grenadjerzy wdzierali się do mieszkań prywatnych, znieważyli flagi koalicyjne i polskie, a niejednokrotnie poturbowali mieszkańców. Na wieść o prowokacjach pękły przez polityków wielkopolskich wzniesione sztuczne zapory. Sprawdziła się raz jeszcze psychologja tłumu, gdy zebrany na powitanie Paderewskiego lud polski poczuł swą moc i dał jej wyraz przy samrzutnem tłumieniu wybryków niemieckich.

Pierwsze kroki wojenne w Poznaniu wywołały wprost niesłychany zamęt. Upadł autorytet władzy zaborczej. Zachwiało się nawet znaczenie Komisarjatu Naczelnej Rady Ludowej, nieoficjalnego dzielnicowego rządu polskiego. Zabrakło wodza i celów politycznych. Do głosu doszła ulica, natłoczona rozgorączkowaną masą ludu polskiego. W chaosie uwidoczniły się skutki poprzedniej jednostronnej taktyki. Wypadki wyrosły ponad głowy komisarzy i posłów polskich. Położenie umożliwiło kolektywny sposób rządzenia. Przytem Naczelna Rada Ludowa okazała się bezradną wobec woli ludu, gdyż nie posiadała człowieka, który jako dyktator lub wódz naczelny umiałby w ręku swem skupić kierownictwo militarne i polityczne wielkopolskiego ruchu niepodległościowego.

Nie było więc wodza, nie było celów politycznych. Ponad bezwolę polityków wyrosły samorzutne działania ludności. Odgłosem 27 grudnia był płomień polskiej rewolucji narodowej, który lotem błyskawicy ogarnął całą Wielkopolskę. Ruszyli w święty bój b. żołnierze pruscy, chłopi, robotnicy i drobni rzemieślnicy — chwycił za broń odłam ludności, której jedynem wyznaniem wiary i jedynem pragnieniem była niepodległa Polska. Ruszyli i dobrowolni wygnańcy, którzy w okresie rewolucji niemieckiej przeszli na teren Kongresówki, by przygotować się należycie do walki z zaborcą.



Powitanie Paderewskiego na dworcu w Poznaniu w grudniu 1918 r. Przyjazd jego stał się hasłem Powstania Wielkopolskiego.

Zwyciężyła wola powstańca. Źle uzbrojone, na gwałt improwizowane oddziały powstańcze odnosiły sukcesy mocą charakteru pojedynczego żołnierza. W tym fakcie tkwi piękno powstania wielkopolskiego. Wbrew nakazowi przywódców politycznych ludność zaboru pruskiego czynem potwierdziła słuszność hasła walki zbrojnej o niepodległość. Nie było przytem powstanie wielkopolskie młodzieńczym nierozważnym porywem. Stawała w bratnim szeregu młodzież, a obok niej ogromna masa dojrzałych obywateli. Nie było ich wielu w pierwszych dniach powstania. Brakło należytego przygotowania ogółu ludności, brakło nakazu politycznego. Oto przyczyny, dla których mimo bezgranicznego poświęcenia, powstaniec wielkopolski nie przeniósł znicza swobody na Pomorze i Śląsk. W krwawych uporczywych bojach oswobodził tylko Ks. Poznańskie. Znaczniejszym był sukces moralny powstania wielkopolskiego. Wobec całego świata było bowiem manifestem, że pozostawienie zaboru pruskiego w ręku niemieckiem byłoby pogwałceniem zasady samostanowienia narodów, przyjętej za podstawę ukończenia wojny światowej. Dalszym moralnym sukcesem powstania było pobudzenie braci Górnoślązaków do czynu, co, jak wiemy, zadecydowało o losach tej perły naszych ziem.

Może sucha historja zajmie się kiedyś badaniem problemu, co wydatniej wpłynęło na losy b. zab. pruskiego, czy czyn powstańczy, czy też zabiegi Komitetu Narodowego w Paryżu. Nam, żyjącym powstanie jest wskaźnikiem, że nienaruszalność naszych granic zagwarantować może tylko wychowanie ogółu narodu w duchu walki zbrojnej o niepodległość.

Czy warto więc niszczyć wzrok w ciemnościach krytyki historycznej? Tam w zorzach wschodzącego słońca niepodległości stoi powstaniec wielkopolski, który o chłodzie i głodzie, w krwawym serdecznym znoju ostrzem swego bagnetu zakreślił fragmenty zachodniej granicy naszego państwa. Wespół z powstańcem śląskim uratował honor dzielnicy, składając ofiarę krwi na ołtarzu zmartwychwstającej Ojczyzny.

Zygmunt Wieliczka (Poznań).

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI PREZYDENTA NARUTOWICZA.



Dnia 16 b. m. odsłonięto (na zdjęciu) w Warszawie w t. zw. Domku letnim w Łazienkach, gdzie mieszkał przed wyborem na Prezydenta R. P. ś. p. Gabrjel Narutowicz, tablicę pamiątkową ku Jego czci W uroczystości tej wzięli udział ks. prałat Bojanek (w środku), wojewoda Jaroszewicz, szef kancelarji cywilnej Prezydenta R. P. dr. Hełczyński, dyrektor Zbiorów państwowych dr. Lauterbach, radca Michał Mościcki i inni,

Najboleśniejszą z dziejów odrodzonego Państwa Polskiego kartę przypomniało nam 10-lecie tragicznego zgonu śp. Prezydenta Narutowicza. — Zbrodnicza ręka zamordowała skrytobójczo Człowieka, który nietylko reprezentował Majestat Rzeczypospolitej, lecz jako osobistość, przedstawiał pierwszorzędne walory. Najszlachetniejszy człowiek, wybitny uczony, pracujący przed rokiem w 1918 w Szwajcarji, lecz ceniony w całym świecie, znakomity patrjota polski, który rodaków swoich w czasie wojny serdecznie i hojnie wspierał, po przybyciu do Polski zasłużony minister, zrazu Robót Publicznych a później Spraw Zagranicznych, wreszcie jako Głowa Państwa ożywiony najszlachetniejszemi i najrozumniejszemi zamierzeniami na przyszłość, śp. Gabrjel Narutowicz, zapisał się trwale w sercach Polaków. To też żałobne obchody w 10-lecie Jego śmierci odbyły się we wszystkich ważniejszych ośrodkach Polski przy żywym współudziale społeczeństwa.



Ś. p. Gabrjel Narutowicz, pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, zginął z rąk fanatyka dnia 16-go grudnia 1922 r. w czasie Wystawy obrazów w „Zachęcie“ warszawskiej, kilka dni zaledwie po objęciu najwyższego w aństwie Pstanowiska, na które powołało do Zgromadzenie Narodowe, złożone z członków Sejmu i Senatu R. P. Tragiczny Jego zgon wstrząsnął do głębi całe społeczeństwo polskie.

ECHA TYGODNIA.



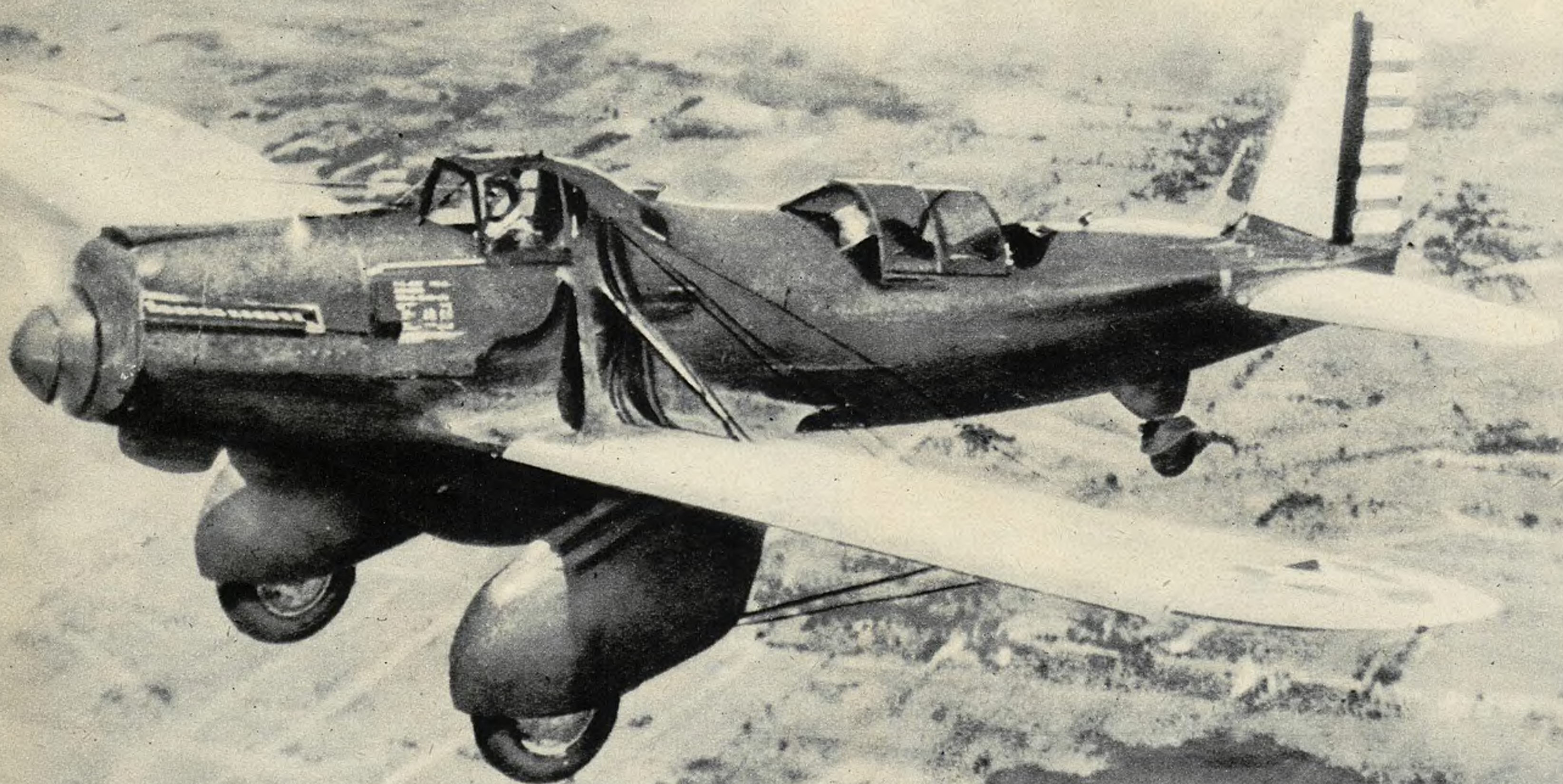
KRZYŻE ZASŁUGI NA PIERSIACH FUNKCJONARJUSZY STRAŻY WIĘZIENNEJ. Dnia 15 b. m. odbyło się w więzieniu przy ulicy Dzielnej w Warszawie, uroczyste zamknięcie kursu dla niższych funkcjonarjuszy więziennych. Jednocześnie minister sprawiedliwości Michałowski udekorował (na zdjęciu) krzyżem zasługi 13-tu strażników więziennych.



WYSTAWA DROBIU W WARSZAWIE. Na Dynasach otwarto wystawę drobiu, która cieszyła się wielkiem powodzeniem i zgromadziła kury, gęsi i gołębie, oraz inne ptactwo domowe. Z polskich ras, szczególnem zainteresowaniem cieszyły się słynne zielononóżki. Na zdjęciu komitet wystawy z p. Trybulskim (trzeci od lewej) znanym znawcą spraw hodowlanych i autorem książki o psach rasowych.



PRZESILENIE MINISTERJALNE WE FRANCJI. Rząd Herriota podał się do dymisji, otrzymawszy ogromną większością votum nieufności. Większość ta wypowiedziała się kategorycznie przeciwko płaceniu długów wojennych Ameryce. Na zdjęciu premjer Herriot, przemawiający na nocnem posiedzeniu Izby.



LATAJĄCA FORTECA.

Nowy aeroplan-olbrzym armji amerykańskiej.

Armja amerykańska została wyposażona w dwanaście nowych olbrzymich aeroplanów, zwanych „latającemi fortecami". Zbudowane one są całkowicie z metalu i należą do typu Curtis A—8 „Shrike".

Każda z tych fortec ma na swoim pokładzie pięć karabinów maszynowych i odpowiednią ilość bomb. Aeroplany te poruszają się z wielką szybkością, przekraczającą 300 km. na godzinę. Ćwiczenia próbne, jakie z niemi przeprowadzono, przeszły wszelkie oczekiwania. Olbrzymy te mają bowiem wielki zasiąg, wznoszą się stosunkowo szybko i lądują gładko.

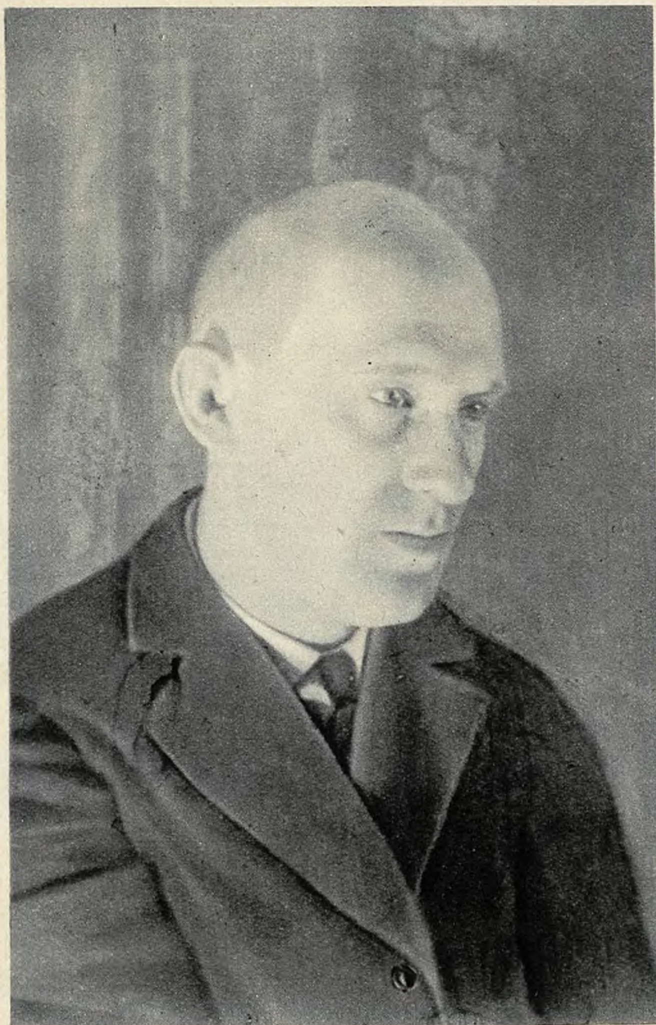
Latające fortece są przeznaczone do bombardowania nieprzyjacielskich ośrodków.

W Europie najpotężniejsze maszyny bombowe są budowane w Anglji, Francji i w Niemczech. Szczególnie aparaty francuskie tego typu, budziły podziw na ostatniej wystawie w Paryżu.


Skok z latającej fortecy.

POETA HOLENDERSKI PRZYJACIELEM POLSKI.

W roku ubiegłym bawił w Polsce znany poeta holenderski Jan H. de Groot. Zwiedziwszy Kraków, Tatry i Pieniny i inne ważniejsze ośrodki naszego kraju, oraz nawiązawszy stosunki z przedstawicielami naszej literatury i sztuki. Groot stał się całą duszą przyjacielem Polski i po powrocie do Holandji skreślił swoje entuzjastyczne wrażenia o Polsce w szeregu świetnych artykułów i wierszy, publikowanych w najpoczytniejszych pismach. W lecie Grot zamierza znowu zawitać do Krakowa.



Jan H. de Groot, znany poeta i publicysta holenderski, wielki przyjaciel Polski.

Uszanowanie [1]

voor Marysia.

Romantisch volk dat langs mij gaat:
De straat
is vol van groote heeren.
Wel honderd keeren
herkennen zij elkaar; een groet,
een buiging, dan een zwaai der hoed.
En zoet
klinkt uit hun mond:
„Ik ben een vrindje van je"
Uszanowanie.

[1] Spreek uit: Oezanowânje; klemtoon valt op de op één na laatste lettergreep. Gebruikelijke Poolsche groet, beteekent: Eerbied voor u.

Fragment popularnego wiersza Jana Groota p. t. „Uszanowanie", zamieszczonego w piśmie „Het Korenland" (Juli 1932).







DLA NAS ŚNIEG I SŁOŃCE.



Praktyczny ubiór narciarski, złożony z wełnianych spodni i ręcznie robionego sweterka z odpowiednią czapeczką.

Ponad miastami snują się szare gęste mgły, otulając pokryte śniegiem ulice, trawniki i drzewa. Ale ten śnieg jest również szary i budzi w nas uczucie smutku i żalu...

A więc uciekamy do krainy słońca, gdzie śnieg w jego promieniach lśni złocistemi iskrami, gdzie błękit nieba, niepokalanego żadną chmurką, rozpina w kryształowo czystem powietrzu namiot, łączący się z ziemią na dalekich krańcach horyzontu.

To Eldorado narciarzy, ku któremu kierują swe kroki wszyscy miłośnicy białego sportu, to stolica polskiej zimy, urocze wśród gór ukryte — Zakopane!

Tej zimy wkraczamy w nowy okres wakacyj zimowych, a więc wyjazd w góry na narty jest łatwiejszy niż kiedykolwiek i należy się doń przygotować.

Piękna pani przebierze się na kilka tygodni czy na dłużej w wygodny, chłopięcy strój narciarski, prosty, skromny, ożywiony zaledwie barwną czapeczką, szalem lub sweterkiem. Mróz i słońce ubarwią jej policzki zdrowym rumieńcem — piękniej napewno od najlepszych kosmetyków! Z kijkami w dłoni, na szybkobieżnych deskach przebiegać będzie po śnieżystej dali, czerpiąc balsamiczne tchnienie powietrza, przesiąkniętego żywicznym aromatem.

Cóż za rozkosz dla płuc i mięśni!

Pęd z wiatrem w zawody po stokach gór... krew żywiej krąży, rumieniec wykwita na twarzy, a oczy błyszczą zdrowym blaskiem!

Poświęćmy więc chwilę uwagi dla narciarskiego stroju. W ciągu ostatnich kilku lat ustalił się jego klasyczny niemal krój. Spodnie z dobrej wełny, szerokie o tyle, by łatwym był każdy ruch, wpuszczone w narciarskie buty, ubrane na wełniane wykładane skarpetki, dostosowane w kolorze do szala i czapki, a nawet i rękawiczek, których wyłogi są ładnie sharmonizowane.

Do spodni nosi się albo bluzę-wiatrówkę ze skóry — i ta jest bodaj najpraktyczniejsza — lub też pulower włóczkowy i żakiet z materjału tego samego co i spodnie, lub wreszcie sweter barwny, wełniany.

Czapeczka-beret, szal, rękawiczki i skarpetki — to cała orgja żywych, jasnych kolorów, których dobór świadczy o guście właścicielki. A dobierać należy do cery, koloru włosów i oczu. To sztuka w swoim rodzaju! Trzeba się jej uczyć, bo nie każdej z pań jest wrodzoną, a jakże wiele ona znaczy w codziennem życiu!

Kolor kostjumu jak najspokojniejszy. A więc ciemny granat, czarny, ciemny brąz, ciemny zielony — to najpraktyczniejsze i nie opatrzy się w noszeniu. Materjały wełniane lub też aksamitne i welwetowe. Tych ostatnich dość dużo widzi się narazie na wystawach, czy jednak wytrzymają próbę praktyczności — jeden sezon pokaże. Welwety w prążki ładnie się prezentują na modelach kostjumów narciarskich i łyżwiarskich.

Wybór zatem duży i zależnie od stopnia zamożności można się przygotować do nart bardzo indywidualnie.

A więc z nartami w krainę śniegu i słońca po największy skarb życia — zdrowie!

W. W.



Prosta spodniczka, z boku zapinana na rząd guzików, wełniany kasak i efektowny barwny szal — to ładny komplet na ślizgawkę.



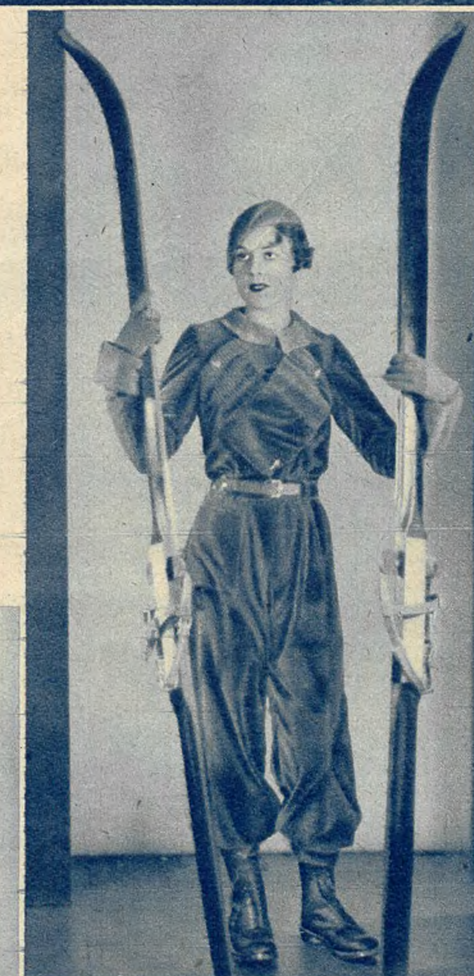
Kostjum do ślizgawki z prążkowanego welwetu beige i brązowego. Czapka, szal, rękawiczki i skarpetki dostosowane do koloru bluzy.



Popielaty kostjum narciarski z welwetu prążkowanego w dwóch odcieniach.



Granatowy wełniany kostjum narciarski złożony ze spodni i żakietu. Barwny szal, czapeczka, rękawiczki i skarpetki.



Kostjum narciarski z zielonego welwetu prążkowanego. ze skórzanym paskiem. Popielata czapeczka i rękawiczki.



W okresie najsilniejszej insolacji można zdejmować żakiet od kostjumu narciarskiego.

Logogryf świąteczny.

(Ułoż. St. Millerowa Łęczno, czł. Warsz. Kl. Szar.).

.Święta lat młodych!... O! chwile promienne
Które różowa mgła wspomnień osnuwa,
Które się pieści jak skarby bezcenne
jak paciorki różańca przesuwa...
Vszak to najmilsze z dzieciństwa wspomnienia:
– Przyjazd do domu na święta ze szkoły,
Choinka, szopka, o „gwiazdce“ marzenia,
en nastrój w domu świąteczny, wesoły...
.A dzień wigilji!... Te **szóste** zwyczaje
Przekazywane w dalsze pokolenia
Takie naiwne a jednak się zdaje
że bez nich święta nie mają znaczenia!...
Wszystko jest **trzecie** i pełne uroku:
Przygotowania do świętej wieczerzy,
Szukanie gwiazdki na niebie o zmroku,
te misterja w które każdy wierzy...
.A oto **siódmy**, który widzę czasem:
Samą jest pokój jasno oświetlony
Pachnący sianem i szpilkowym lasem —
– Siwa Babunia, Dziaduś pochylony,
Siedzą przy **drugim** obok Ojca, Matki,
A na obrusie jak **trzynasty** białym
Jabłka, orzechy i białe opłatki,
Co taką radość czynią dzieciom małym!...
.A ta **czternasta:** szopka, nad nią gwiazda
Ósma się świeci, a we środku — dziwa! —
Żyd, cygan, djabeł, czarownica, gazda,
Ułan, król Herod, no i... śmierć prawdziwa!...
– W głębi nad żłóbkiem pochylona **Piąta** —
Mędrcy z darami pastuszków gromada,
Obok **Dziesiąty** troskliwie się krząta,
Wołek z osiołkiem na kolana pada....
.A jakże **pierwsze** wspominać te chwile,
Gdy po wieczerzy, w futra okutani
Do odległego kościółka o milę
Na mszę pasterską mknęliśmy saniami...
Ach! tu **dwunasta!** noc jasna i cicha,
Przed nami droga skrzy się brylantami,
Las się **dziesiąte** i pobożnie wzdycha,
jedenaste usiane gwiazdami...
I dziś to samo, a jednak — już nie to,
Co oczy dziecka widziały w zachwycie,
Co później było zachętą, podnietą — — —
– Wszystko to zbladło, zmalało przez życie!...
Tylko w dzieciństwie **czwarte** się tęczowo
To, co zazwyczaj szarym cieniem bywa, —
Tylko się wtedy ciałem staje słowo,
Kiedy je wiara opromienia żywa!...

Dla ułatwienia podajemy sylaby logogryfu: bię, o, braz, dli, jo, le, lu, mie; mo; na; na; na, ni, nie, pan, re, san, sce, sta, sto, śnieg, ta, wa; zło; zef; ne

Środkowe litery logogryfu odczytane z góry na dół, dadzą rozwiązanie.

Arytmograf.

(Ł. M. Waksmundzka (Jasła, czł. Warsz. Kl. Szar.)



. 5, 17, 25, 5, 3, 5, 1, 6, 21, 16, 8, 14, 15, 16, 7, 20, 2, 7, 18, 2, 17, 16
. 2, 7, 23, 10, 9, 6, 7, 24, 15, 5, 1, 11, 2, 13, 19, 23, 2, 13, 10, 9, 20, 11, 16, 6
. 2, 14, 13, 14, 15, 16, 17, 11, 15, 5, 6, 24, 7, 26, 13, 19, 24, 16, 18, 16, 10, 2, 17, 16
. 16, 25, 15, 8, 10, 2, 1, 5, 1, 10, 16, 7, 23, 2, 10, 16, 7
. 16, 21, 3, 16, 21, 2, 11, 8, 15, 13, 14, 4, 18, 9, 28, 3, 5, 7, 23, 6, 9, 4
. 10, 2, 14, 16, 20, 7, 15, 18, 16, 13, 21, 10, 9, 25, 9, 14, 25, 22, 20
17, 16, 21, 15, 20, 7, 15, 6, 15, 16, 3, 14, 13, 10, 9, 20, 21, 10, 12, 7, 12, 6, 22
17, 14, 5, 8, 2, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 16, 2, 21, 16, 4, 24, 22, 20.

Wstawione w miejsce liczb litery według niżej podanego klucza dadzą rozwiązanie.

1) 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7 = wódz i prorok Izraelitów;
2) 8, 9, 10, 11, 12 = wysoki, podniosły;
3) 13, 14, 15, 16, 17, 18, 2, 13, 19 = jasność;
4) 2, 20, 21, 22, 23, 15, 24, 15, 5, 25 = Bóg jako Zbawca;
5) 8, 26, 20, 27, 28, 16 = muzyka.

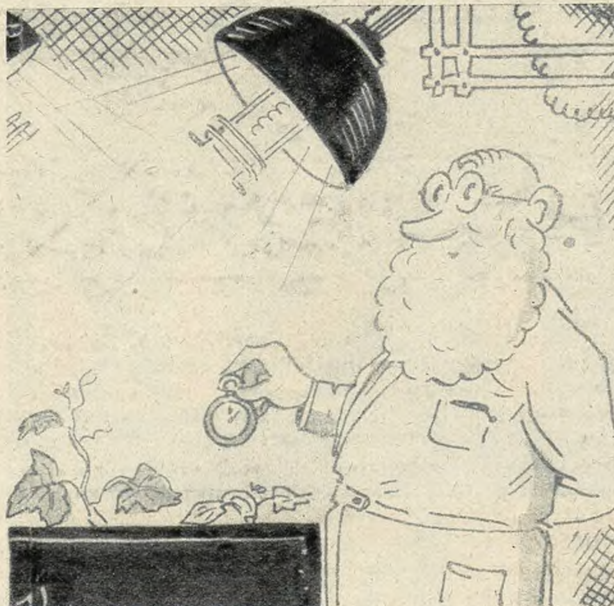
Za rozwiązanie powyższych dwóch zadań, redakcja „Światowida” przeznacza

Trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 31 grudnia 1932 r.

Eksperyment z promieniami, przyspieszającemi rozwój roślin.



Trzeba będzie te promienie wypróbować na sadzonkach ogórków.



Rzeczywiście rośliny rozwijają się bajecznie.



...a za cudowny rezultat po 10-ciu minutach.

Rozwiązanie z Nr. 49.

REBUS: Czeka na świętego Mikołaja dzieci zgraja.

LOGOGRYF: I człek także ledwie zipie, dycha Bo na niego ciągle kryzys czyha.

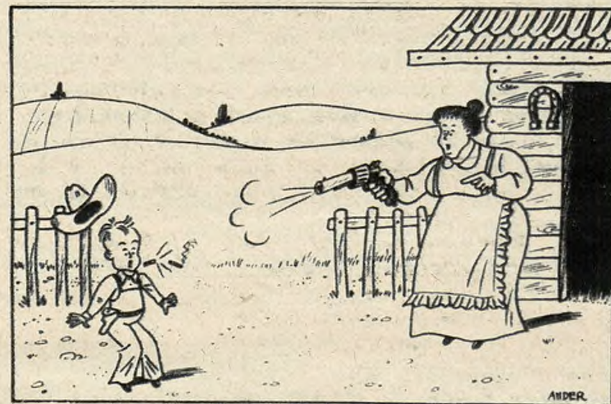
Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 49 nadesłali:

„Gon“, Warszawa; Zb. Block, Poznań; W. Kortylewicz, Poznań; St. Effert, Poznań; Wacław Tyblewski, Warszawa; Adam Borowicz, Warszawa; Marja Strubel, Warszawa; „Apollo“, Ozorków; Anna Szmytowa, Poznań; Leopold Bronner, Kraków; Emerytka, Wilno; **Jan Gawryś, Kraków (zł. 30.—)**; Jan Janczewski, Wilno; Janek S., Warszawa; L. Lenartowski, Poznań; J. Nieczuja-Ihnatowicz, Gdynia; Dorota Herbstmanówna, Warszawa; „Wilnianin“, Dubno; Wł. Wojtczakowa, Ozorków; Stan. Mikowska, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; H. Zadarnowski, Dubno; R. Schützowa, Poznań; T. Sobecki, Poznań; Józef Maziarz, Ozorków; **Natalja Sobolewska, Lublin (zł. 20.—)**; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; M. Waksmundzka, Jasło; Michał Adamczyk, Węgrów; K. Lilpop, Warszawa; ks. Leopold Klementowski, Tarnopol; „Wiślanka“, Warszawa; Zygmunt Biesiada, Ozorków „Manfred“; Zenon Fonferko, Przemyśl; N. Kazimierz Kozłowski, Warszawa; kpt. Hauschild Ludwik, Nowy Targ; **J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna (zł. 10.**— prosimy uprzejmie o podanie dokładnego adresu).

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Jana Gawrysia, Kraków (zł. 30.—), Natalję Sobolewską, Lublin (zł. 20.—) i J. Doroszkiewicza, Królewszczyzna (zł. 10.—).

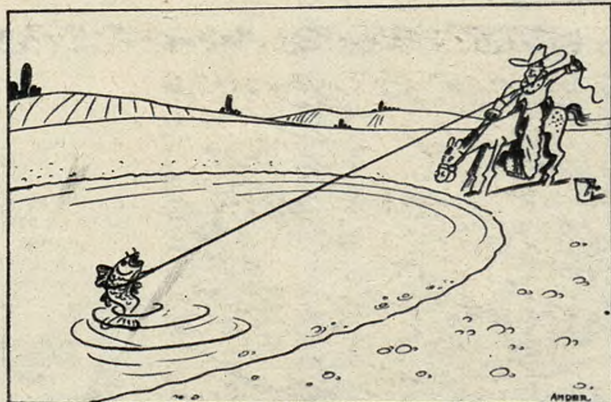
Redakcja „Światowida“ wyżej wymienionym prześle gotówkę niebawem.

NA DZIKIM ZACHODZIE.



Matka: — A mówiłam ci już tysiąc razy, żebyś nie palił papierosów.

JAK COWBOY ŁAPIE RYBY?



ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ
KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
LEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-6 , 15
dział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i
mer konta P. K. O. w Krakowi 401.200 — w Warszawie

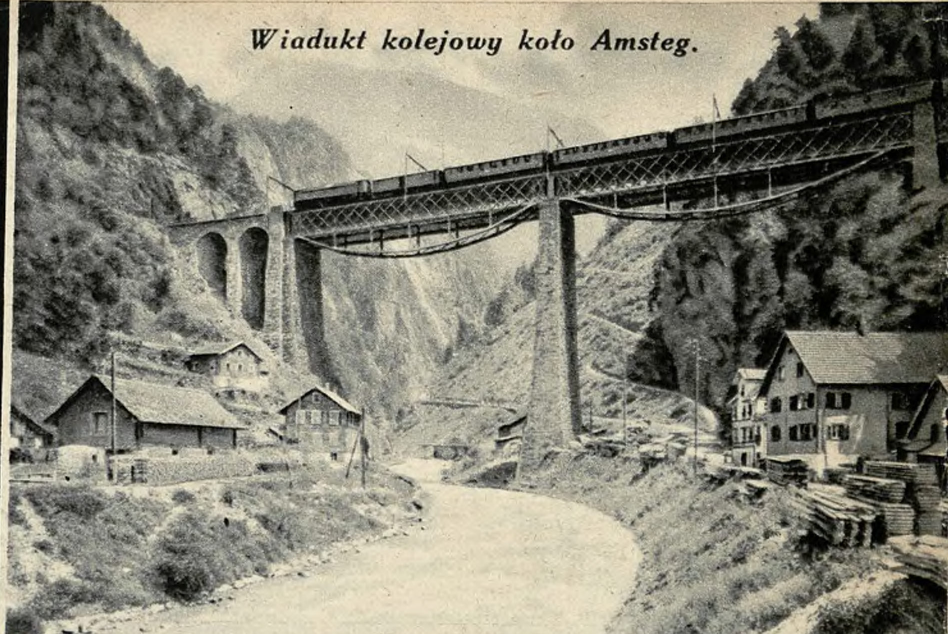
CENA OGŁOSZEŃ:
...się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm. ... 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na ... „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. ... zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze ... technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zle... będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego“ w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON N... do nagrody
za rozwiązanie ... 1932 r.



Ekspress Gottharda w Erstfeld.



Wiadukt kolejowy koło Amsteg.

W CZELUŚCIACH ŚNIEŻNEGO GOTTHARDA.

Jednym z największych, na cały świat słynących cudów Szwajcarji jest linja kolejowa Gotthardbahn, arcydzieło sztuki inżynierskiej, ukończone w roku 1882, a w roku 1922 w całości zelektryfikowane. Przed inżynierami - budowniczymi stanęło do rozwiązania zadanie najtrudniejsze z dotychczasowych. Należało utorować dla ruchu międzynarodowego drogę poprzez największe trudności terenowe. Nad lustra jezior spadały strome, usypiste brzegi, otwierały się wśród gór wąskie, tarasowato wznoszące się doliny, z zawrotnych wysokości zlatywały kaskady potoków przez dzikie wąwozy, ze szczytów sypały się kamienne i śnieżne lawiny a wreszcie jak nieprzebyta zapora stawał wpoprzek planowanej linji potężny masyw Gottharda.

Wszystko to zdołał przezwyciężyć genjusz szwajcarskich inżynierów. Dziś linja ta, łącząca w cztery godziny Zürich z ciepłem południem Szwajcarji na krańcu kantonu Tessin, jest najwybitniejszą i najbardziej uczęszczaną linją kolejową. I niewiadomo czy zdumiewać się więcej przedziwnemi sztukami budowlanemi czy niesamowitemi widokami, jakie na każdym odcinku odtwierają się przed podróżnikiem.

Linja kolejowa Gottharda poszczycić się może 80 tunelami o łącznej długości 46 kilometrów, 450 mostami i wiaduktami o blisko 7000 metrów rozpięcia, nie mówiąc już o setkach zapór przeciw lawinom, kamieniom i dzikim potokom. Z owych 46 km. tuneli — 15 przypada na największy tunel Gottharda, który dziurawi ten potężny masyw blisko 2000 metrów poniżej wierzchołka. Największem jednak dziwem tej linji, są tunele spiralne, jeden koło Gurtnellen, dwa powyżej Faido, dwa koło Giornico, gdzie rozwija się słynna potrójna pętla linji kolejowej. Stoki są w wielu miejscach tak strome, że pociąg musi obrócić się wiele razy, by móc się obniżyć. Obniżenie to następuje właśnie w owych krętych tunelach. Po minięciu każdego z nich, pociąg wyjeżdża już o kilkadziesiąt metrów poniżej a z okien wagonu widać w dole liczne skręty szyn. Jazda taka wskutek ciągłej zmiany kierunku tak łudzi, że często nie można się zorjentować skąd się przyjechało a dokąd się zdąża.

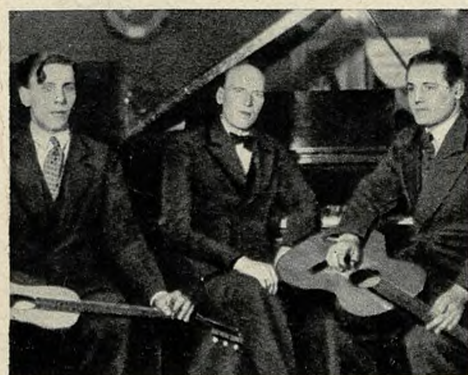
Mimo tych wszystkich trudności i ogromnej różnicy wzniesień, dwie elektryczne lokomotywy ciągną za sobą nieraz i 20 długich pulmanowskich wagonów, wśród których nie brak sleepingu i wozu restauracyjnego. Przez cały czas jazdy pali się w wagonach światło elektryczne a w tunelach co kilometr błyszczą jasno latarnie. Prąd elektryczny dla tej linji wytwarzany jest w dwóch ogromnych elektrowniach (Kraftwerk) obok Amsteg i Piotty. Pierwsza zużywa siłę rzeki Reuss, druga potoku Foss.

Z nad błękitnych południowych jezior Szwajcarji winduje się Gotthard-express wąską skalistą doliną a raczej jej wschodniem zboczem ku Bellinzonie. Jesteśmy na wysokości wszystkiego 231 metrów nad poziom morza. Towarzysząca nam rzeka Ticino tworzy piękne wodospady. Nad osadą Biasca, utopioną wśród winnic zlatuje z nieprawdopodobnej wysokości biała rzeka wodnej piany. Za nią wznosimy się bystrzej w górę coraz węższą doliną; skały zupełnie zastępują drogę. Za Giornico (401 m. wys.) zaczyna się istna fantazja wiaduktów i tuneli. Z nad poszarpanych zboczy błyskają w dali pierwsze śnieżne szczyty. W dzikim chaosie urwisk i wąwozów rosną ostatnie kasztany południa i wije się cudowny asfaltowy gościniec, wiodący na Gottharda. Faido, już 758 metrów wysoko i Piotta z wielką elektrownią. Po zboczach na prawo i lewo wspinają się jakieś zwarjowane kolejki linowe wprost w górę. Airolo, ostatnia osada u południoych stóp Gottharda, leży na wys. 1150 m. i tonie już w bieli zimowej. Od zasypanych okolicznych szczytów ciągnie mróz. Ekspress staje poraz pierwszy od Bellinzony, jak by zaczerpnąć chciał tchu przed wpadnięciem w czarną czeluść Gottharda. A potem jadę ze wzru szeniem poraz pierwszy w życiu słynnym tunelem i liczę minuty do 15-tu. Wyjeżdżamy w słońce i błękit. Rozpędzony pociąg jak wąż zsuwa się wśród majestatycznego krajobrazu alpejskiego ku Göschenen (1110 m.), kręcąc po drodze pętle, kółka i serpentyny. W dół, w dół ciągle do Wassen i Gurtnellen przez najpiękniejszy wiadukt przerzucony przez Reuss na wysokości 71 m. a 145 m. długi. Majestatyczna, biała twierdza Europy, Gotthard znika już za nami. Amsteg (548 m.), Erstfeld (575 m.) i Altdorf (463) sprowadzają w krainę jezior. I oto już za chwilę przybiega niemal do szyn błękitna fala jeziora Czterech Kantonów a z nad sennej wody wznoszą głowy słynne szczyty, znane z poetycznej historji Wilhelma Tella. Nowe cuda nad wodą, nowe arkady i tunele, z pomiędzy których błyskają jak w kalejdoskopie wspaniałe krajobrazy. Z nad słonecznego Brunnen strzelają ku niebu dwa fantastyczne wierzchołki Mythen. A dalej grzmi pociąg nad jeziorem Zug i zawraca bez pamięci na ostrych serpentynach, jakby mu się spieszyło bardzo do Zürichu. I tak z niziny na nizinę, z południowego na północny kraniec Szwajcarji, przez kraj wiecznych śniegów i lodowców nad brzegi jezior wiedzie ta kunsztowna kolej, w której skupia się całe piękno, rozmaitość i talent inżynierski Szwajcarji.

Niezapomniane, niezatarte wrażenia!

Marja Sandoz.

Z WYSTAWY MUZYCZNEJ.



Uwagę publiczności, zwiedzającej I-szą Wystawę Muzyczną w Warszawie, zwróciły popisy uczniów Kursów Muzycznych, pp. Kamińskiego Leona i Władysława Kupczyka, koncertujących na gitarach hawajskich (firmy St. Śliwiński). Przy fortepianie profesor Edmund Kownacki (na zdjęciu).



Przemysł organowy na I-szej Wystawie Muzycznej w Warszawie reprezentowała znana Fabryka Organów Wacława Biernackiego — Warszawa, ul. Dobra L. 65. Firma ta dzięki swej sumienności i technicznym udoskonaleniom w swych instrumentach, zdobyła sobie zasłużoną sławę w kraju i zagranicą.



Na pierwszej wystawie Muzycznej w Warszawie, przemysł fortepianowy reprezentowała znana fabryka Fortepianó i Pianin B-ci K. i A. FIBIGER, Kalisz, ul. Polna 20. Firma ta od chwili założenia, t. j. od 1899 r. do dnia dzisie szego, prowadzona jest przez założycieli-fachowców, których wiedza zawodowa i długoletnie doświadczenie spr wiły, że instrumenty tej firmy odznaczają się solidną i trwałą budową, piękną barwą tonu, doskonałą i lekk grą, za co wielokrotnie odznaczane były nagrodami na wszystkich wystawach wszechświatowych. Szczególną uw gę zwracało najmniejsze i najtańsze pianino na świecie za zł. 950.— mod „AKF". Tak niska cena daje możność każdemu nabycia tego instrumentu, a jako podarunek gwiazdkowy jest najmilszym upominkiem.

Z KŁOPOTÓW ŚWIĄTECZNYCH MAŁEJ ZOSI.

